

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

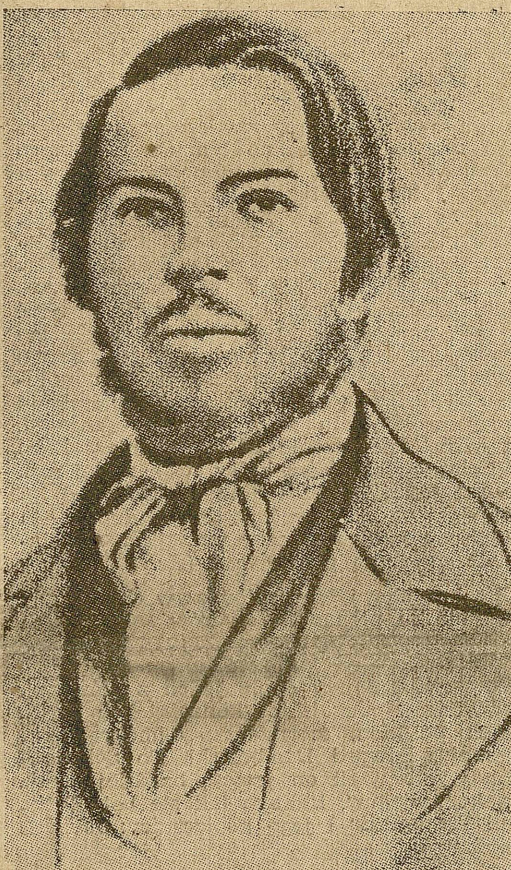
Rok VI

Łódź, 3 lipca 1949 r.

Nr 27 (206)

Witold Łukaszewicz

Pierwsze echa socjalizmu naukowego w prasie polskiej 1846 roku



Portret Engelsa z okresu 1843 r.

W kwietniowym numerze poznańskiego „Roku 1846”, najpoważniejszego organu prasowego krajowego centralnego ośrodka ruchu narodowo-wyzwoleńczego, inspirowanego i kierowanego przez emigracyjne Towarzystwo Demokratyczne Polskie, ukazała się obejmująca aż 32 strony recenzja książki Fryderyka Engelsa: „Die Lage der arbeitenden Klasse in England”, która wyszła spod prasy w czerwcu 1845 r. w Lipsku. Autorem tej najwcześniejszej polskiej recenzji pierwszej większej pracy młodego Engelsa był według wszelkiego prawdopodobieństwa Wincenty Mazurkiewicz, szwagier Ludwika Mierosławskiego, emigrant-rewolucjonista, wybitny emsariusz, wreszcie członek Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego w najważniejszej fazie jego działania, to jest w latach 1846–1848, w fazie największego nasilenia rewolucyjnego na ziemiach polskich.

Sama recenzja nie stanowiłaby żadnego ciosu, gdyby nie jej duch wybitnie życiowy dla wywodów Engelsa i gdyby nie czas, w którym się ona ukazała na czołowych kolumnach ostatniego numeru „Roku”, na który pruska cenzura wypisała wyrok śmierci. Recenzja książki Engelsa zamykała ciągnącą się na łamach „Roku” od 1843 do 1846 problematykę socjalistyczną, stanowiła przejście od rozważań nad różnymi doktrynami utopijnymi socjalistycznymi – komunistycznymi do socjalizmu naukowego w jego początkowej, nieukształconej jeszcze całkowicie we wszystkich szczegółach, ale już wyraźnie zarysowanej postaci – do materialistycznego pojmowania dziejów.

Ala recenzja książki Engelsa zamykała też ważną fazę polskiego ruchu narodowo-wyzwoleńczego o szerokim programie wewnętrznej przebudowy społecznej – powstania 1846 r. na ziemiach polskich – stanowiącego pierwszą fazę rewolucji burżuazyjno-demokratycznej, która usiłowała rozwiązać podstawowy problem warunkujący jej nasilenie i powodzenie – problem agrarny. Wiemy, że rozwiązała go tylko na papierze – w pamiętnych słowach Manifestu Rządu Narodowego z dnia 22 lutego 1846 r., który wskutek załamania się powstania nie wszedł w życie i nie zdołał rozszerzyć ludowej bazy polskiego ruchu narodowo-wyzwoleńczego.

Recenzja książki Engelsa, napisana przez Wincentego Mazurkiewicza tuż po upadku ostatniej reduty ruchu 1846 – Krakowa, ma swoją głębszą wymowę, bo pośrednio – przez solidaryzowanie się recenzenta z wywodami autora książki sięga do podstawowego problemu rewolucyjnego – określenia głównej siły napędowej burżuazyjno-demokratycznej rewolucji oraz jej przerastania w rewolucję socjalistyczną. Rzecz zrozumiała, że dla lat czterdziestych XIX w. przy uwzględnieniu ówczesnej struktury agrarnej i przemysłowej w trzech zaborach zagadnienie podstawowej siły napędowej dla ówczesnego polskiego ruchu rewolucyjnego sprowadzało się do „agrarniej demokracji” – do chłopskiej rewolucyjnej drogi w walce przeciw patriarchalno-feudalnemu absolutyzmowi.

Ta właśnie rewolucyjna chłopska droga była głównym przedmiotem walki ideologicznej na emigracji, a za jej sprawą w kraju, w dobie Przedwiośnia i Wiosny Ludów (1831–1849), tzn. w dobie wzmożonych ruchów narodowo-wyzwoleńczych związanych ściśle z narastaniem kapitalizmu i zachodzącymi w związku z tym zmianami w stosunkach produkcji na wsi i w mieście. Emigracja polska na Zachodzie, ta główna sprawczyń powstania 1830–31 r. – rewolucji, która według Engelsa nie była „rewolucją narodową ani też rewolucją społeczną lub polityczną”, lecz „rewolucją konserwatywną” wyrosła z egoizmu i ograniczoności politycznej szlachty, emigracja ta podjęła na tutejście namietną dyskusję na temat odpowiedzialności historycznej za upadek Polski i ostatniego powstania. Wśród „potępiących swarów” dokonywał się proces formowania się obozów emigracyjnych i ich programów niepodległościowych. Emigracja, w trzech czwartych swego pochodzenia społecznego szlachecka, w jednej czwartej mieszczańska i chłopska, musiała przede wszystkim ustawić się do podstawowego problemu, którego ostrość uwypukliło „konserwatywne” powstanie 1830–31 r., do problemu agrarnego i związanych z nim konsekwencji gospodarczych, społecznych i politycznych w wypadku jego powstania i rozwiązania.

Czartoryscy – prawica emigracyjna – grupująca emigracyjną szlachtę folwarczną i jej krajowych sojuszników wśród latyfundiów feudalnych w trzech zaborach – wypowiadali się za utrzymaniem wielkiej własności rolnej. Problem usamowolnienia, uwłaszczenia i uobywatelnienia chłopów odkładali „na lepsze czasy” wysuwając na plan pierwszy zabiegi dyplomatyczne i licząc na konflikty między monarchiami konstytucyjnymi Zachodu (Francja, Anglia) a Sw. Przymierzem, które miały wskrzesić Polskę, Polskę z patriarchalno-feudalnym ustrojem agrarnym, Polskę nieuszczerpionych latyfundiów i w najgorszym już razie oczyszczonych chłopów. Ta „dyplomatyczna” droga do niepodległości Polski omijająca początkowo nawet rewolucję polityczną wyprutą z wszelkiej problematyki społecznej nie groziła chłopską żakierią, prawem agrarnym, babuwizmem, komunizmem ewangelicznym itd., godzącymi w wielkopolski folwark. Wiemy dobrze, dokąd zaprowadziła czartoryszczyków ich „niepodległościowa” droga w pierwszym dziesięcioleciu emigracji, w każdym razie nie zaprowadziła ich do Polski, ale na peryferie walk dynastycznych: do Portugalii, Hiszpanii, Egiptu; zamiast zbliżyć, oddaliła od kraju emigracyjnych książąt, hrabiów, baronów, karmazynów i czepiających się ich poły podpadłych szlacheckich inteligentów – doktrynerów. Adam Czartoryski, opromieniony częstochowską poezją księdza Praniewicza i sofistycznymi wywodami genealogicznymi Woronicy, został „królem de facto” – Adamem I w Hotelu Lambert na wyspie Sw. Ludwika w Paryżu. Trzeba było „dyplomatyczną” różdżką odrzucić precz, chwycić się innej formuły agitacyjnej w marszu żółwim do Polski: Hotel Lambert wywiesił w latach 1838–39 sztandar insurekcji – powstania, jasniepańskiego powstania na ziemiach polskich. Monarchistyczna insurekcja z Konstytucją 3 Maja w ręku folwarcznego „rewolucjoni-

sty” – dziedzica! Kraj nie mógł pójść na taką rewolucję, na drugą „konserwatywną rewolucję” – na przedłużenie patriarchalno-feudalnego absolutyzmu. Kraj znalazł się niepodzielnie pod wpływami emigracyjnego obozu demokratycznego, obozu, który pchał go na tory kapitalistycznego rozwoju i walkę o wyzwolenie narodowe zespalał z wewnętrzną przebudową społeczną mającą lepiej odpowiadać zmieniającym się stosunkom produkcji na ziemiach polskich.

Oboz demokratyczny – to przeciwnicy patriarchalno-feudalnego status quo w kraju, to szermierze burżuazyjno-demokratycznej rewolucji, to zapaleni rzecznicy rozszerzania bazy ludowej tej rewolucji. Ale oboz to niejednolity pod względem ideologicznym, co uwarunkowane było jego strukturą klasową. Stanowili ten oboz: 1) leleweliści (stronnicy Joachima Lelewela), 2) Towarzystwo Demokratyczne Polskie, 3) Lud Polski z Gromadami „Grudzią” i „Humań” na ziemi angielskiej. Społecznie przedstawia się ów oboz na emigracji następująco: średnia i drobna szlachta, proletaryzowana inteligencja szlachecka i drobnomieszczańska, wreszcie chłop – żołnierz. Leleweliści – to w przeważającej części drobnomieszczańscy demokraci republikańscy z nieznaczna domieszką szlachecką i mieszczańską inteligencją rad-dykalną. Towarzystwo Demokratyczne Polskie – to w ogromnej większości drobnomieszczańscy i drobnomieszczańscy „ludowcy” oraz kilku zaledwie chłopskich inteligentów. Lud Polski – to w swej masie chłop – szlachtyńca – żołnierz, którzy przeszli katorgę pruską w Grudziądzu i innych twierdzeniach. Kieruje Ludem Polskim garstka drobnomieszczańskich i drobnomieszczańskich inteligentów karbonarów oraz jeden czerwony hrabia – Worcell. Lud Polski i skrajna lewica Towarzystwa Demokratycznego tworzą plebejskie, najbardziej rewolucyjne ugrupowanie w obozie demokratycznym, ugrupowanie stojące na gruncie „agrarniej rewolucji” – chłopskiej demokracji, zmierzające do likwidacji własności obszarnej i do przekazania jej we wspólne – „gminne” – władanie masy chłopskiej, wyzwolonej z pęt poddaństwa i pańszczyzny, usamowolnionej i pełnoprawnej politycznie. U podstaw rewolucyjnego programu wewnętrznej przebudowy społecznej, postawionej na pierwszym miejscu w ruchu narodowo-wyzwoleńczym, Lud Polski kładł zasadę „wspólnej dla wszystkich ziemi i jej owoców” zapożyczoną od francuskich karbonarów – babuwistów. Tak wyglądał utopijny komunizm agrarny Ludu Polskiego.

Jak ustosunkowały się dwa pozostałe odłamy obozu demokratycznego na emigracji do podstawowego problemu walki narodowo-wyzwoleńczej – do sprawy agrarnej i wiążącego się z nią nierozdzielnie zagadnienia rozszerzenia bazy społecznej przyszłego powstania? Szlachecy demokraci spod znaku Lelewela szli na rewolucję polityczną, w której rolę kierowniczą miała odegrać średnia i drobna szlachta oraz związana z nią klasowym pochodzeniem postępową inteligencją; lud zaś pod przewodem tej rewolucyjnej szlachty byłby przysłówiowym taranem w jej ręku. Po odzyskaniu niepodległości politycznej w granicach przedrozbiorowych Polska stałaby się państwem z nową strukturą rolną opartą na kapitalistycznym gospodarstwie folwarcznym i silnym gospodarstwie chłopskim, wolnym od wszelkich ciężarów popańszczyźnianych. Sam zaś proces przeobrażenia feudalnego gospodarstwa obszarowego w kapitalistyczne odbywałby się bez gwałtownych wstrząsów na drodze odgórnym – parlamentarnym uchwał przedstawieliście ogólnonarodowego. Była to droga unikania za wszelką cenę rewolucji agrarnej, droga wytyczona klasowym interesem i zmierzająca do zachowania przodującej pozycji ekonomicznej i politycznej szlachty w społeczeństwie polskim. W lelewelistycznym programie wewnętrznej przebudowy społecznej interesy klasy szlacheckiej górowały wyraźnie nad plebejskimi, chociaż były ukryte pod atrakcyjną pseudoludową propagandą broszurową, prasową i słowną.

Najbardziej zwarte, karne i konsekwentne

W NUMERZE między innymi:

„O położeniu klasy wyrobniczej w Anglii”

T. Kubiak – wiersz

J. Szczepański – O orientację w rozwoju kultury na wsi

S. Ignar – Zmiana ustroju w rolnictwie

P. Wyrobek – W Roku Mickiewicza

W. Leopoldowa – O naukę i prawdę

J. Iwanowska – Szkodliwa popularyzacja

W. Oza – Budownictwo szkół wiejskich

J. Witowska – Pamiętnik służącej

S. Cieślak – U progu pierwszej sześciolatki w rolnictwie

W. Jajdziński – Życiorysy górników

J. Pogan – „Krytyka miłująca”... wrogów?

w realizowaniu nakreślonego sobie po kilkuletniej wewnętrzno-organizacyjnej dyskusji ideologicznej programu niepodległościowego było Towarzystwo Demokratyczne Polskie. Wyszło ono na czoło tego programu słynne hasło: „Wszystko dla ludu, wszystko przez lud!”. Wypowiadało się za uwłaszczeniem bezwarunkowym chłopów, użytkownika na ziemi pańskiej, ale pozostawiało na pastwę losu proletariatu wiejski, nie znosiło folwarków szlacheckich, nie likwidowało magnackich latyfundiów, odżegnywało się od komunizmu agrarnego, wyklinało jego zwolenników i usuwało ze swoich szeregów. Apelowało do dwudziestomilionowej masy chłopskiej, poręczało nadanie jej pełnych praw politycznych. Przyszła Polska, demokratyczno-republikańska, z przewagą elementu chłopskiego i drobnomieszczańskiego w życiu politycznym, opierała na drobnych posiadaczach; chciała ograniczyć wyzysk człowieka przez człowieka, ale nie kładła tamy kapitalizmowi, przeciwnie, ułatwiała jego rozwój na wsi i w mieście przez utrzymanie kapitalistycznego folwarku i popieranie bez ograniczeń kapitalistycznej produkcji przemysłowej. Ideą społeczną Towarzystwa był chłop – posiadacz i rzemieślnik uświadomieni politycznie i przywiązani do polskości. Poza zawieszaniem tego ideału społecznego znalazły się rzesze proletariatu na wsi i w miastach, ludzie bez własności – „doby społeczne”. Droga do tak pojętej przebudowy społeczno-gospodarczej przyszłej Polski nie była mimo pomstowania na szlachtę i straszenia jej szubienicą przez Towarzystwo w wypadku, gdyby osmieliła się ona odrzucić jego program społecznego ruchu narodowo-wyzwoleńczego, drogą plebejską, drogą agrarną demokracji.

Edward Dembowski 1822 – 1846
Rysunek ołówkowy Aleksandra Karpińskiego ze współz. dagerotypu

Za osłoną pozornie antyszlachecką zarysowywała się wyraźnie linia kompromisu z klasą historycznie uprzywilejowaną, linia ugody ze szlachtą, pojawiała się zmore solidaryzmu stanów w miejsce walki klasowej. Tylko skrajna lewica Towarzystwa Demokratycznego i to nie zespółowo, lecz indywidualnie, wypowiadała się za plebejską, rewolucyjną drogą w rozwiązaniu problemu agrarnego: za nacjonalizacją ziemi, za Polską chłopską demokracją.

Z takim programami społeczno-politycznymi prezentowały się krajowi obozy emigracyjne: czartoryszczyzna monarchistyczno-konstytucyjna, jasniepańska oraz trzy odłamy obozu demokratycznego: leleweliści, Towarzystwo Demokratyczne i Lud Polski, przynosząc na ziemi polskiej swoje spory idea-

logiczne i antagonizmy organizacyjne. Kraj w latach 1832–1846 znalazł się pod najsilniejszym ostrzałem emisarki emigracyjnej, ulegał jej propagandzie, wiązały się oczka siatki spiskowej. Grunt do spiskowania nie dla wszystkich obozów był jednokowo przystępny. Jego podatność uwarunkowana była przede wszystkim charakterem programu społecznego i bazą klasową, na której przeniesiona z emigracji konspiracja zamierzała się rozwijać. W każdym zaborze ta baza klasowa była swoista, co wynikało ze specyficznego układu stosunków społeczno-ekonomicznych na wsi i w mieście. Najbardziej nomyślnie warunki dla konspiracji powstańczej istniały w zaborze pruskim, najcięższe w rosyjskim.

KONSPIRACJA KRAJOWA W LATACH 1832 — 1846

Jako pierwszy wyruszyli na podbój ideologiczny kraju i omotali go siatką konspiracyjną na lat siedem (1832–1839) leleweliści, zbierając Rzeczpospolitą Krakowską i Galicję za główne bazy ogólnopolskiego powstania przeciw trzem zaborcom: Rosji, Austrii i Prusom. Płk. Józef Zaliwski wypaczył plan powstańczy Lelewela i jego rewolucyjnego sztabu — „Zemsty Ludu”, nadając robotce spiskowej charakter wyłącznie antyrosyjski. Wyprawa Zaliwskiego do Królestwa Polskiego w marcu 1833 r. zakończyła się żałośnie, rezultat był żaden, ofiary ciężkie. Jedyne pozytywne dla przyszłości ruchu rewolucyjnego w kraju wynikiem akcji Zaliwskiego było rozszerzenie się w Galicji i Krakowie za sprawą partyzantów emigracyjnych karbonaryzm czyli węglarstwa, w którym brzmiała silnie nuta babuwińska — utopijnego komunizmu agrarnego. Przeraził on galicyjskich szlacheckich demokratów i odepchnął od partyzantki Zaliwskiego, ba, zraził ich nawet zupełnie niesłusznie do samego Lelewela, który babuwiźm nie miał zamiaru propagować nawet na emigracji. Karbonarzy partyzanci (Michał Chodźko, Borkowski, Bołbiński) pogrzebali swym radykalizmem społecznym pierwszy wypadek do kraju Lelewela, ale nie zraził go tym bynajmniej do dalszego rewolucyjnego działania. Baza społeczna tego działania miała pozostać niezmienną: średnia i drobna szlachta, wyszła z jej szeregów postępową inteligencja, a przede wszystkim gmin szlachecki w administracji folwarcznej. W latach 1835–6 emisariusze Lelewela założyli zręby pierwszej ogólnopolskiej konspiracji demokratyczno-republikańskiej — Stowarzyszenia Ludu Polskiego, którego krajowy ośrodek dyspozycji znajdował się najpierw w Krakowie, potem we Lwowie. Program społeczno-polityczny Stowarzyszenia był umiarkowany, obliczony na zjednanie poparcia wpływowej, zamożniejszej szlachty, kleru i bogatego mieszczaństwa. Kadry konspiracji o kilku szczeblach w tajemniczo tworzyła przeważnie szlachetka i mieszczańska inteligencja oraz młodzi akademicy. Konspiracja lelewelistyczna, obliczona od razu na długie działanie propagandowe, przygotowywała, umocniła się w Warszawie, sięgała przez Konarskiego Szymona na Litwę i Ruś, zapuściła macki w Poznańskie, słowem owładnęła krajem, ale mimo to ulegała rozkładowi, zanim została częściowo wytopiona i zlikwidowana przez carską i austriacką policję. Rozkład Stowarzyszenia zapoczątkowała wewnętrzna dywersja skrajnie radykalnych elementów spiskowych, głoszących zagładę szlachecką i związanych przez Adolfa Zaleskiego z Gromadami Ludu Polskiego w Anglii. Była to tzw. Konfederacja Powszechna Narodu Polskiego, złożona z zapalnej młodzieży szlacheckiej, głównie akademików. Żywot jej był krótki, ale mimo to wpłynął na radykalizację lelewelistycznej konspiracji. W roku 1838 spadły na Stowarzyszenie Ludu Polskiego ciężkie ciosy: likwidacja siatki spiskowej Konarskiego i warszawskich „Świętokrzyszów” przez carską policję, rozbiór Zboru Głównego (kierownictwa Stowarzyszenia) we Lwowie wskutek aresztowań. Demokracja szlachecka lelewelistycznej proveniencji uległa rozgromieniu w kraju, zanim zdolano podjąć otwarty bój z zaborcami. Od pogromu ocalało Poznańskie.

Na gruzach lelewelistycznej konspiracji krajowej zaczęto budować nową według własnych planów i zasad ideologicznych Towarzystwo Demokratyczne Polskie. Z polecenia jego kierownictwa przybyli do kraju w roku 1839 dwaj najzdolniejsi emisariusze Centralizacji: Walery Breański do Poznańskiego i Wincenty Mazurkiewicz do Królestwa Polskiego. Mieli oni za zadanie wybadanie terenu i skupienie rozbitych ogniw lelewelistycznych przy Towarzystwie Demokratycznym. Mazurkiewicz, wyszukany do tej emisarki przez najcięższego ideologa Towarzystwa Wiktora Helmana, należał do skrajnej lewicy demokratycznej. Wyznawał on agrarny komunizm w interpretacji swych kolegów karbonarów z Ludu Polskiego, z którymi wiązała go rewolucyjna działalność w węglarskim Narocie Narodowym Polskim. Urodzony w r. 1813 należał do najmłodszego pokolenia powstalców — emigrantów. Na tułactwie dokształcał się pilnie, uczęszczając na uniwersytet w Paryżu, na którym studiował prawo i ekonomię. Po paru latach intensywniejszej nauki skończył prawo i poświęcił się emisarsce. Miał duży talent publicystyczny, który wykorzystywał, pozostawiając po upływie długiego żywota sporo rozpraw i artykułów o treści prawnej i ekonomicznej. Interesowały go w latach czterdziestych XIX stulecia sprawy angielskie, zwłaszcza rozwój przemysłu i narastająca w następstwie tego rozwoju problematyka robotnicza; interesowały go także francuskie teorie utopijno-socjalistyczne, a poza tym „Związek Sprawiedliwych” w Paryżu, orga-

nizacja emigrantów niemieckich. Ożeniony z siostrą Ludwika Mierosławskiego, Ksawerą, pasował do swego szwagra wiekiem, poglądami, ale ustępował mu temperamentem rewolucyjnym i polemicznym, za to przewyższał wykształceniem i jasnością wyśłowienia. Taki właśnie emisariusz jak Mazurkiewicz był wówczas potrzebny do przeciągnięcia rozbitków lelewelistycznej konspiracji krajowej pod sztandar Towarzystwa Demokratycznego. Dlaczego właśnie taki? Bo rozbitkowie ci rekrutowali się w większości spośród członków i sympatyków frakcji konfederackiej Stowarzyszenia. Najwięcej ich było w ośrodku spiskowym warszawskim, lubelskim i radomskim. Mazurkiewicz połowicznie wykonał polecenie Centralizacji. Szybko pozyskał względem lewicy Stowarzyszenia i frakcji konfederackiej organizując w oparciu o nie Związek Narodu Polskiego, który dość luźnie związał organizacyjnie i ideologicznie z Centralizacją Towarzystwa Demokratycznego. Wśród najbliższych współpracowników Mazurkiewicza znaleźli się Edward Dembowski oraz kilku innych młodych zapalczyków, związanych ze środowiskiem spiskowym warszawskim. Konspirację lubelską oparł Wincenty Mazurkiewicz na młodym adwokacie Aleksandrze Karpińskim, radomską na swoim krewnym, Leonie Mazurkiewiczu, patronie trybunału sandomierskiego, postępującym od dłuższego czasu w kontaktach z emisariuszami emigracyjnymi, zapalonym zwolennikiem rewolucji społecznej — chłopiejskiej demokracji.

Dembowski, Karpiński, Leon Mazurkiewicz byli rzecznikami natychmiastowej rewolucji, z którą wiązała nieodłącznie sprawę wewnętrzną przebudowy społecznej na zasadach utopijnego komunizmu agrarnego. Siatka spiskowa została zawiązana pod oficjalną firmą Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, ale duch, jaki ją ożywił, daleki był od ortodoksyjnego, odbiegał wyraźnie od założeń ideowych Manifestu z 4 grudnia 1838 r. Pułpili Helmana, autora tegoż Manifestu i gwardiana wiary demokratycznej, Wincenty Mazurkiewicz, spłatali swemu mocodawcy — Centralizacji — przykrego figla, posłał w Królestwie Polskim wśród skaptowanych przez siebie członków nowego, demokratycznego spisku babuwiźm w specyficznej interpretacji portsmoutskich i jersyjskich ekskarbonarów — gromadziar. Na plony nie trzeba było długo czekać. Dojrzały one szybko pod czułą opieką Dembowskiego, Leona Mazurkiewicza i księdza Piotra Ściegiennego, dojrzały w warszawskim kółku entuzjastów i entuzjastek zamkniętym wokół „Przeglądu Naukowego” redagowanego w l. 1842.3 przez Dembowskiego oraz w „Związku Chłopskim” Ściegiennego (1840–1844) w Lubelszczyźnie i Kieleckim.

Kontakty Ściegiennego z warszawską grupą Dembowskiego są znane i nie wymagają bliższych omówień; znane jest również oddziaływanie na szefa „Związku Chłopskiego” poglądy społeczno-polityczne Dembowskiego i idących z emigracji doktryn francuskich utopijno-socjalistycznych.

Wincenty Mazurkiewicz po zmontowaniu konspiracji w Królestwie pod nazwą Związek Narodu Polskiego wyjechał w Poznańskie (1840), by podprzeć wysiłki organizacyjne emisariusza Walerego Breańskiego, który nie bez trudności mógł postawić pierwszy zrab demokratycznej organizacji poznańskiej, pięciosobowy Komitet z Karolem Libeltem na czele. W rozbudowie konspiracji pod firmą Towarzystwa Demokratycznego przeszkadzała Breańskiemu poważnie „organiczna praca” Karola Marcinkowskiego i jego protektorów spośród folwarcznej szlachty i młodej polskiej burżuazji. Dopatrywali się oni w ruchu demokratycznym tendencji komunistycznych, sami zaś szli głównie na obronę praw Polaków w monarchii pruskiej, łącząc ją z „pracą organiczną” na modłę francuskiej burżuazji pojętą. Pobyt Wincentego Mazurkiewicza w Księstwie sprzęga się wielomówiwo z pojawieniem się na arenie spiskowej poznańskiej „Związku Plebejuszy” księgarza Walentego Macieja Stefańskiego. Sprawiedliwy rozdział dóbr i zysków, zapewnienie robotnikowi prawa do pracy, zniesienie na czas rewolucji własności obszarnej i sugerowanie wspólnego władania ziemią wysuwał Stefański na czoło swych postulatów społecznych. Egalitaryzm w surowej postaci z mocnymi akcentami ewangelicznymi, kryjący w wielu miejscach wewnętrzne sprzeczności — oto w ogólnych zarysach program Stefańskiego. Baza społeczna „Związku Plebejuszy” — to elementy plebejskie oraz młodzież szkolna skora do rewolucyjnego czynu. Drobnymi rzemieślnikami i sklepikarzami, czeladnikami i terminatorami, oficjałami dworscy, służbą folwarczną, chałupnikami a zwłaszcza liczną rzeszą komorników wyzutek z ziemi wskutek rugów dziedziców i nieobjęta „dobrodziejstwami” ustawy regulacyjnej z roku 1823, a stanowiącą trzon proletariatu wiejskiego. Baza społeczna spisku była więc bardzo szeroka. Toteż „Związek Plebejuszy” odegrał w ruchu rewolucyjnym Wielkiego Księstwa Poznańskiego rolę wybitną, bodajże ważniejszą niż organizacja demokratyczna kierowana z emigracji przez Towarzystwo Demokratyczne i jego poznańską ekspozyturę, w której największy wpływ wywierali Libelt, Guttry i Jędrzej Moraczewski, przedstawiciele burżuazyjno-szlacheckich demokratycznych grup w ruchu, skorych do ugody ze szlachtą obszarową. Stefański i jego plebejusze dawali zastrzyki rewolucjonizmu Centralizacji Poznańskiej i Wersalskiej i pchnęli obie na drogę rewolucyjnego czynu. To na ich konto trzeba zapisać rok 1846. Zasięg terytorialny organizacji Stefańskiego mimo dywersji uprawianej przez „organicznych” i Centralizację Poznańską, dywersji szlachecko-burżuazyjnej, był duży. Siegał jedną odnogą do Berlina, Torunia, Chełma i

Gdańska, drugą — do Wrocławia, gdzie współdziałał z niemieckim „Klubem Socjalistycznym”, którego właściwy ośrodek dyspozycji znajdował się w Paryżu, w komunistycznym (na modłę ówczesną) „Związku Sprawiedliwych”. W Berlinie zaufany Stefańskiego, Teofil Magdziński, utrzymywał bliskie kontakty z weteranami „Klubu Doktorów”, w którym działali nie tak dawno (1841–2) Marks i Engels. Tenże Magdziński inspirował na początku 1846 r. treść artykułu zamieszczonego w „Gazecie Wielkiego Księstwa Poznańskiego”, w którym opisano w ciemnych barwach dolę „wyrobników” w Poznańskim, „owych niewinnych ofiar stosunków społecznych, skazanych od kolebki do grobu na niedostatek i cierpienie”. Przyczynę tego stanu ukazywał w „arystokratycznych pieniądzach... co bez najmniejszej pracy mają wszelkie potrzeby i wygody życia mniejszej części narodu... pozyskane pracą, znojem, niedostatkami i nędzą większej”. W konkluzji żądał Magdziński „urządzenia pracy” mogącego zapewnić ją każdemu obywatelowi.

Problematyka robotnicza wchodzi w lata 1843–1846 na łamy prasy polskiej, inspirowanej przez plebejski, zdecydowanie rewolucyjny nurt konspiracji krajowej prowadzonej pod firmą Towarzystwa Demokratycznego. Widać ją dzięki Dembowskemu w warszawskim „Przeglądzie Naukowym” (1843–4), w poznańskim „Tygodniku Literackim”, w redagowanym przez Moraczewskiego do spółki z Libeltem miesięczniku „Rok” (1843–1846). I w tym ostatnim organie prasowym plebejusze mają wpływ, zwłaszcza od jesieni 1843 r., tj. od przybycia do Poznania Dembowskiego i innych entuzjastów po odkryciu (w sierpniu 1843) przez policję carską kilku ogniw Związku Narodu Polskiego w Królestwie.

Dembowski i Stefański, Leon Mazurkiewicz i Ściegienny — to ognia jednego łańcucha, któremu na imię — plebejski nurt w rewolucji burżuazyjnej. Ale łańcuch ten nie zamykał się na ziemiach polskich. Łączył się on dalszymi ogniwami z podziemnym ruchem robotniczym niemieckim, prowadząc przez Szwajcarię do Paryża, a może i do Londynu, do „Związku Sprawiedliwych”. Dr. Ewerbeck, kierownik „gmin” paryskich „Związku Sprawiedliwych”, był w l. 1843–48 gorącym sympatykiem lewicy Towarzystwa Demokratycznego skupiającej się koło Wincentego Mazurkiewicza i Ludwika Mierosławskiego. Zlikwidują oni w r. 1845 ugodowców szlacheckich w Centralizacji Wersalskiej, przeciwników powstania: Tomasza Malinowskiego i Henryka Jakubowskiego, by pchnąć Towarzystwo Demokratyczne na tory rewolucyjnego czynu w kraju. Mierosławski zasiadł w Centralizacji jako autorytet w sprawach wojskowych, zasiadł po złożeniu Helmana przyrzeczenia, że przysięg swój „komunizm”. Komunizm — to była najpoważniejsza przeszkoda na drodze Mierosławskiego do wodzostwa w kraju.

A Wincenty Mazurkiewicz? On nie przeczył swego „komunizmu” jak Mierosławski, ale odczytał go na drodze lektury prac Marksa i Engelsa od utopizmu. Mazurkiewicz czyta artykuły Marksa i Engelsa w „Rocznikach Niemieckich - Francuskich” i „Vorwärts” (1844), organie uchodźców niemieckich, krytykujące utopijny komunizm i poruszające problem robotniczy w związku z powstaniem tkaczy śląskich i ciężką dolą proletariatu angielskiego — proletariatu fabrycznego. Nie obce też być musiały dla Mazurkiewicza F. Engelsa „Listy o socjalizmie i komunizmie na kontynencie”, ogłoszone od października 1844 do maja 1845 r. w oświeceniowym „The New Moral World”, wychodzącym w Leeds. Ale i Engelsowi nie obcy był plebejski nurt konspiracji poznańskiej, skoro w liście pod datą 10 maja ogłoszonym w „The New Moral World” donosił o odkryciu w Poznaniu przez władze pruskie „komunistycznego stowarzyszenia” młodzieżowego braci Rymarkiewiczów (luty 1845). Rymarkiewiczom udało się wówczas zbiec za granicę. Wiadomo, że byli oni ściśle związani z Walentym Stefańskim i tworzyli ze swoją konspiracją młodzieżową odnogę „Związku Plebejuszy”. Engels, który rozróżniał tak starannie terminy: „socjalista” i „komunista”, zwłaszcza w zastosowaniu do ruchu społecznego w Prusach, wyraźnie klasyfikował spisek młodzieżowy Rymarkiewiczów do grupy komunistycznych.

„Widmo komunizmu” krążyło na kilka lat przed rokiem 1846 w Poznaniu i straszło nie tylko władze pruskie i polskich „organicznych” oraz kler, straszło ono najbardziej szlachecko-burżuazyjne skrzydło Centralizacji Poznańskiej wprawiając je w odrętwienie. Widmo to pojawiło się w r. 1847 podczas procesu berlińskiego Mierosławskiego i towarzyszy. Przepędził je wówczas sztyderym słowami „Napoleon” Centralizacji — Mierosławski. Ale nie tu skończyła się droga komunistycznego widma. Zjawiało się ono po załamaniu się ruchu rewolucyjnego 1846 r. w Poznaniu na szpaltach obszarniczo-klerkalnego „Przeglądu Poznańskiego” Koźmianów. Jeden z nich przedstawiając „Stan rzeczy w W. Księstwie Poznańskim” tuż po wydarzeniach rewolucyjnych pisał: „O robotach komunistycznych w Księstwie trudno wyrzec stanowcze zdanie, ile że zarzut tego wszyscy nadużywają. Zdaje się, że byli komuniści teoretyczni między wykształconszymi, a że młodzi niedoświadczeni ludzie, którzy się mienili komunistami, brali w mylnym przekonaniu komunizm tylko za środek do odzyskania ojczyzny... Tu i ówdzie komuniści podburzali komorników do gwałtu w nadziei podziału majątków...” („Przegląd Pozn.” 1848, VI, 183–189). Tak pisał „Przegląd Poznański” w czerwcu 1848 roku w przedświadczeniu, że „widmo komunizmu” zniknie bezpowrotnie. Ale jakże musiał drzeć ze strachu jego redaktor, gdy czytał w lutym numerze „Roku 1846” w artykule pt. „So-

cializm i polityka” wyszłym spod pióra rzecznika plebejskiej drogi rewolucyjnej, następujące konkluzje: po obaleniu feudalizmu „ogłoszono wolność obywatelską, ale w takiej formie, że to było ogłoszeniem rozstrzeżenia egoistycznego. Sądono, że człowiek w ogóle wprowadzony został na szczebel najwyższej godności, a tymczasem został on u spodu, a mieszczaństwo tylko wzbił się wysoko i na człowieka, równie jak dawniej dygnitarz kościoła lub stanu rycerskiego, z góry spoglądać zaczął. Sądono, że władza przesiąkała na człowieka z tytułem obywatelskim, a tymczasem ona wyrwała się tylko z ręki szlachty, aby zostać narzędziem do łowienia z drugich korzyści w ręku mieszczaństwa. Upadło znaczenie miecza i genealogii, a wstąpiło na jej miejsce znaczenie maszyny fabrycznej i kapitału w brzącej monocy lub papierze. Na tej drodze nie odzyskał więc człowiek wolności cywilizacyjnej, którą miał od początku jakkolwiek dziką...” („Rok 1846”, str. 77). A kilka stron dalej: „polityka może się tylko wspierać na socjalizmie, który właściwie obejmuje jej pierwotne części; polityka jest powierzchownym kształtem drzewa, ale jego sok, organy, listki, tkanki, kory, korzenie i włókna, wewnętrzne własności drzewa społecznego są przedmiotem socjalizmu. Jest on więc właściwie tylko wewnętrzną głębszą polityką i codzień zyskuje więcej obywatelstwa pomiędzy umiętnościami, a bez wątpienia stanie się wkrótce najgłośniejszą ze wszystkich”. (str. 89).

Widać w tych przytoczonych fragmentach zarodek materialistycznego pojmowania procesu dziejowego, ślad niewątpliwej lektury artykułów Marksa i Engelsa. Ciekawe, że długie krytyczne artykuły o stosunkach społeczno-politycznych w Anglii pojawiają się w „Roku” głównie w latach 1845–6 i mają wiele podobnych sformułowań konkluzyjnych do sformułowań Engelsa, zawierających się w jego wypowiedziach na łamach paryskiego „Vorwärts” (1844). A w numerze marcowym „Roku 1846” w artykule pt.: „Nędza i przestępstwa a głównie w Anglii” czytamy: „Najszacowniejsze objaśnienia pod tym względem mamy do zawdzięczenia dziełu F. Engelsa „O położeniu klasy wyrobniczej w Anglii”, dzieło, którego nigdy dosyć naczytać się nie można”. Autor (według wszelkiego prawdopodobieństwa Wincenty Mazurkiewicz) dochodzi w swych wywodach do następującego wniosku końcowego: „tylko zniesienie nędzy proletariatu może zapobiec zbrodni, przywrócić panowanie ducha, podnieść ludzi nad stan zwierzęcości, który się bardziej rozpostarł teraz jak kiedykolwiek. Dopokąd indywidualizm panować będzie, dopóki ta wojna wszystkich przeciw wszystkim ma stanowić społeczną podstawę...” (str. 160).

Pisał te słowa Mazurkiewicz w chwili, gdy przy blasku płonących dworów szlacheckich w Galicji konało powstanie 1846 r., gdy na Podgórzu leżał od kul żołdaków austriackich jego najwierniejszy druh, jeden z głównych przywódców plebejskiej konspiracji na ziemiach polskich, szermierz „demokracji agrarnej”, Edward Dembowski. Po Ściegiennym wyolbrzymił on jeszcze bardziej „widmo komunizmu”, którego tak się bał „Przegląd Poznański” i jego poplecznicy: folwark i plebania.

Rewolucja 1846 roku załamała się, bo kierująca nią szlachecko-burżuazyjna demokracja nie miała za sobą najważniejszego sojusznika, nie miała silnego plebejskiego zaplecza rewolucyjnego. Sama zaś była za słaba, by móc przeprowadzić powstanie do zwycięskiego końca i do tego w trzech zaborach. Zaplecze plebejskie tej burżuazyjno-demokratycznej rewolucji było rozbite: w Królestwie Kongresowym od jesieni 1844 r., tj. od likwidacji przez policję „Związku Chłopskiego” Ściegiennego; w zaborze pruskim w lutym, listopadzie i grudniu 1845 r. przez aresztowania wśród członków „Związku Plebejuszy” i wskutek uwięzienia Stefańskiego (8 listopada 1845); wreszcie na najważniejszym odcinku — w Galicji przez krecia politykę miejscowych szlachecko-burżuazyjnych przywódców powstania, której następstwem było zatamowanie drogi do masy chłopskiej plebejskiemu nurtowi ruchu: Dembowskim, Goslarom, Leonom Mazurkiewiczom... i śmiercionośna dla powstania rabacja. W tych warunkach ruch rewolucyjny 1846 r. musiał się załamać. Nie należy przy tym wszystkim, co powiedziano wyżej, przeceniać roli rewolucyjnej plebejskiego nurtu w polskim ruchu narodowo-wyzwoleńczym lat czterdziestych XIX w., którego pierwszy etap zamyka powstanie 1846 r. Nurt ten pomimo znacznego zasięgu klasowego i terytorialnego nie był jeszcze dostatecznie silny i dynamiczny, bo brak było w nim właściwego rewolucyjnego trzonu — proletariatu fabrycznego. Braku tego nie był w stanie wypełnić pomimo całej swej ofiarności i bojowości ani proletaryzowany rzemieślnik, ani chłop pańszczyźniany bądź komornik.

Brak proletariatu fabrycznego w plebejskim nurcie ruchu narodowo-wyzwoleńczego na ziemiach polskich w pierwszej połowie XIX stulecia wynikał z zapóźnionego w stosunku do Zachodu rozwoju przemysłowego kraju.

Entuzjastyczna recenzja książki Engelsa w ostatnim porewolucyjnym numerze „Roku 1846” otwierała dla polskiego ruchu narodowo-wyzwoleńczego nowe perspektywy na przyszłość. Mazurkiewicz uznając bez zastrzeżeń wywody Engelsa odnośnie rewolucyjnej roli proletariatu wskazywał pośrednio społeczeństwu polskiemu drogę do społecznego i politycznego wyzwolenia. Oto dlaczego uważaliśmy za wskazane omówić obszernej polski ruch narodowo-wyzwoleńczy poprzedzający ukazanie się wymienionej recenzji.

O położeniu klasy wyrobniczej w Anglii *)

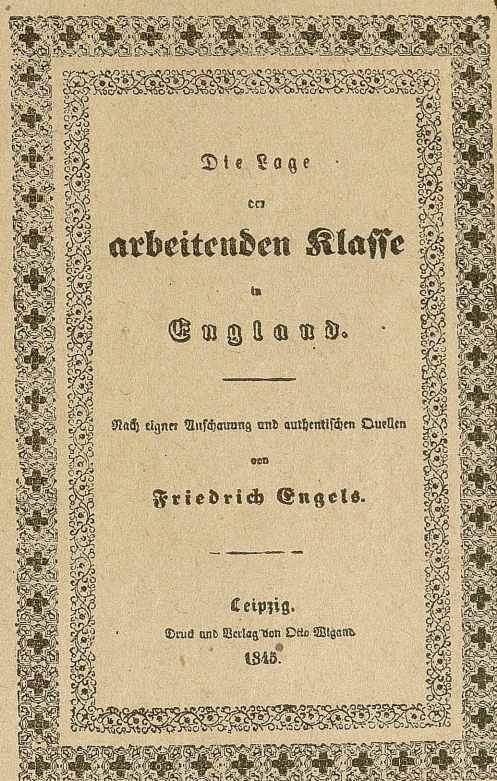
Pismo, które kiedykolwiek jaki Niemiec napisał, jest niewątpliwie najważniejszym Fryderyka Engelsa i dlatego chcemy pomówić obszerniej o niem Anglia daleko naprzód wysuwała się w postępie przed innymi państwami europejskimi; stanowi ona prawdziwe Eldorado polityków, a zwłaszcza starego cudzoziemskiego autoramentu, ludzi przemysłowców wszelkiego rodzaju. Chcieliby oni porwać za włosy całą ludzką i gwałtem ją przyciągnąć, do tego szczęścia angielskiego. Otóż występuje Engels, przedstawia nam tego szczęścia najwyrazistszy daguerrotyp, w którym rozpatrzywszy się należycie, nie wpadamy w żaden zapad umiesienia, ale owszem zostajemy drzeszczem przejęci, bo cały urok zewnętrzny polskiego, niweczy daleko większa przewaga najokropniejszej nędzy, a my przywykliśmy tam gdzie ludzkość idzie na podział między stronnictwa, kłopotać się o nierównie większą liczbę, o massy. Musimy wierzyć naszym oczom, iż poza całym tym przepychem, który nam okazują z oddalenia i który pięknie jeszcze malują jak jest w rzeczywistości, stoi mnóstwo drobnych, poodzieranych chatek, do chlewa nie do domu podobnych, w których jak śledzie są na mieszkaniu zapakowani wyrobnicy; tam więc gdzieśmy się spodziewali poznać dobrze i wybornie zorganizowane społeczeństwo, tam widzimy tylko bardzo jaskrawo odbijające się kontrasty bogactwa i nędzy, zaopatrzenie sinekurów, a uszczuplanie dochodów pracy, w ogóle despotyzm i niewolę; zamiast budowli na mocnych fundamentach z ciosowego kamienia, spotykamy tylko na murszu ze surówek ulepionych i walących się dom, którego jakby celem była sama zewnętrzna okazałość. Engels bawił długo w Anglii, żył z klasą wyrobniczą i stąd miał sposobność obeznać się należycie z jej stosunkami, a do tego to, co spostrzegł, starał się bliżej objaśnić przez dowody piśmienne i autentyczne. Przeciw zarzutowi stronnictwa zabezpieczył się dokładnie, przez to, że dowody na swoje twierdzenie wyciąga ciągle z pism tych, które mają na celu walczyć przeciw proletariatu, i z dokumentów urzędowych. „Przy największej liczbie, powiada Engels w przedmowie: starałem się klasę zdania ludzi mających

przeciwnie zdanie jak ja z tej przyczyny, że liberalni ciągle starają się wykazywać nędzę tych okęgów, w których rolnictwo stanowi główną gałąź zarobkowania, a że zapierają ubóstwa pomiędzy okęgami fabrycznymi; stronnictwo konserwatywne robi znowu przeciwnie, to jest uznaje nędzę miejsc fabrycznych, a zapiera ją w miejscach rolniczych. Z tej przyczyny gdzie mi tylko niedostawało urzędowych dokumentów, przy kreśleniu obrazu wyrobników przemysłowych, przytaczałem zawsze dowody brane od stronnictwa liberalnego, ażeby liberalne mieszczaństwo bić argumentami z jego ust wyjętymi, a odwoływać się w ogólności tylko wtedy na Torysów i Chartisów, kiedy samo położenie rzeczy przekonywało o prawdzie, albo gdy z własnego przypatrzenia się miał zupełną pewnością, albo nareszcie gdy opowiadanie było takich ludzi, którzy mieli z sobą i naukowe ukształcenie, i rękomią osobistego charakteru”.

Autor zaczyna dzieło od przemowy wstępnej do wyrobników angielskich, w której mówi tak silnie i z serca, a przy tym tak dobrze świadom o swoim szlachetnym sposobie myślenia, iż nie można się wstrzymać aby z jej osnową nie obeznać czytelnika. „Wyrobnicy! Wam poświęcam dzieło, w którym postanowiłem stawić przed oczy swym rodakom Niemcom obraz waszego położenia, waszych cierpień i walk, waszych nadziei, i waszych widoków na przyszłość. Dosić długo przestawałem wśród was i z wami, ażeby zdobyć sobie pojęcie waszych stosunków, nie szczędziłem myśli i pracy do ich badania, zgłębnienia, rozpatrywałem się w dokumentach i urzędowych i nieurzędowych do jakich tylko mogłem się doradzić; nie przestawałem jeszcze i na tym — ubiegałem się za czymś więcej jak za uskarbieniem abstrakcyjnego pojęcia przedmiotu; usiłowałem przypatrzeć wam się w waszych domach, w waszym codziennym życiu, z wami o was i waszym położeniu gawędzić, abym na koniec mógł poświadczyć waszą walkę przeciw socjalnym i politycznym stosunkom. To jedynie czyniłem. Nie kłopotalem się zaś wcale o wyższe towarzysztwo, o przyjemność na zapraszanych obiadach, o wina portugalskie i szampańskie, które zapija średnia klasa. To mi jest poleciało i pysznie się z tego: pociecha bo nie jednę chwilę bardzo miło spędziłem na poznawaniu życia w całej jego rzeczywistości — chwilę, albo raczej godzinę, którąbym był musiał trawić na elegancko wymuszanej i nudnej

etykiecie, na rozmowach o niczem; pysznie się zaś z tego powodu, iż miałem porę oddać sprawiedliwość klasie ludzi uciskanej i spotwarzanej, klasie ludzi, której pomimo wad jakie się w niej korzenie mogą i pomimo najnieprzyjawniejsze okoliczności, każdy człowiek, choćby nawet był angielskim faktorem biegającym za interesami pieniężnymi musi przyznać znakomitą godność; pysznie się iż miałem sposobność niejako ratować lud angielski od coraz bardziej wzrastającej przeciwności nienawiści, która na stałym łądzie konieczności musiała znajdować zasilek do wzrostu, z brutalnej i egoistycznej polityki i z postępowania waszej nad krajem pamującej średniej klasy. Dla średniej klasy jestem zupełnie obcym człowiekiem; nie dla niej rozwija się we mnie nadzieja. Może iż się nie wysławiam należycie po angielsku. Żaden wyrobnik anielski, i nawiasem wspominając francuski nie zachowywał się względem mnie, jak względem cudzoziemca. Dostrzegalem z największą pociechą, że nie podlegacie przekleństwu przesady narodowego i narodowej nienawiści, która jest narzędziem wszelkiego niweczenia — które się nareszcie na niczem innym skończyć nie może, jak na egoizmie kupca ryczałtowego. Widziałem z jakim dla każdego jesteście uczuciem, co swoje usiłowania szczerze poświęca postępowi ludzkości, czy jest lub nie jest Anglikiem; że wszystko co wzniosłe uwielbiane, czy to na waszej, czy na cudzej ziemi powstało. Uznałem, że jesteście czemś więcej jak samymi Anglikami, jak członkami pojedynczymi odcosobnionego narodu; znałem u was ludzi członków wielkiej ogólnej rodziny ludzkości, którzy wiedzą, że wasz interes i interes całego rodzaju ludzkiego jest jednym i tem samem. Wam tym członkom jednej i nierozdzielnej ludzkości jako jestestwem człowieczym w najwznioślejszym znaczeniu tego wyrozu, życzę wam i niejedną inną ze stałego ładu całym sercem szczęścia i pomyślności, na waszej drodze rozwoju. Dalej naprzód jak dotychczas. Niejedno znieść wam jeszcze przyjdzie; tylko stałość i wytrwanie! Osiągnięcie skutku jest pewne, i żaden krok któryście na waszej prostej drodze zrobili nie przemienie daremnie dla naszej wspólnej sprawy, dla sprawy ludzkości!”

We wstępie wyklada i rozwija autor przegląd rozwoju przemysłowego i wykazuje jak ten rozwój coraz bardziej niweczył dawne patriarchalne stosunki, a na ich miejsce dźsijsze nowe postawił. Tkactwo bawełniane,



Winieta wydania niemieckiego „Położenia klasy robotniczej w Anglii”

które teraz jeszcze stanowi najgłówniejszą gałąź przemysłu angielskiego, zrobiło początek, dało pochoch do ruchu, w który na koniec wszystkie gałęzie przemysłowe wprawione zostały. Przez wynalazek „Jenny” z r. 1764, tyżący się bardzo prostej maszyny przędzalnej, rozpoczął się podział pracy.

Tkacze po domach surowy materiał na materię w zupełności wyrabiali, a przy tym zwykle trudnili się i rolnictwem, od owego czasu podzielił się na przadków i tkaczy, a rolnictwo całkiem poniechali. Ukształcił się przemysłowy proletariatu, a przez to popuszczane grunta pozamieniały się na rozległe dzierżawy. Mali posiadacze albo dzierżawcy (Yeomen), którzy do owej epoki, w tej samej okolicy i bez zajmowania się myśleniem wegetowali co ich sąsiedzi tkacze, podpadli także wywołanemu przez to spódlubianiu. Musieli się posprzedać, a odtąd pomnażają liczbę przadków i tkaczy, albo najemniej służą u wielkich dzierżawców. Powstaje więc proletariatu rolniczy. Za wynalazkiem „Jenny” zaczęły się pokazywać inne, które ciągle ułatwiał pracę, zastosowanie maszyn stawało się coraz powszechniejszym i nareszcie zaczęło się szerzyć po innych gałęziach przemysłowych. Zwiększono pracę maszynową nad pracą ręczną przez wszystkie główne gałęzie przemysłu angielskiego stało się zupełnie stanowczem, a cała historia tych głównych gałęzi przedstawia obraz, jak robotnicy ręczni z jednego stanowiska, przez maszyny przerzucani byli. Skutkiem tego było na jednej stronie male opadanie cen wszystkich wyrobów, rozkwitanie handlu i przemysłu, zdobywanie prawie wszystkich zagranicznych niepodobnie zasłoniętych targów, śpieszny wzrost kapitału i bogactwa narodowego; na drugiej zaś stronie jeszcze szersze mnożenie się proletariatu, wywracanie wszelkiej własności, bezpieczeństwo zarobku dla klasy wyrobniczej, demoralizacja, wzburzenie polityczne i wszystkie okoliczności tak sprzeciwiające się właścicielom angielskim. Przez wykształcenie się przemysłu nabrały większej wagi kopalnie, marynarka zwiększyła się, a komunikacje lądowe znacznie powiększone zostały; nawet na rolnictwo pokazał się znaczny wpływ, bo przez wzrost ludności zaczęło z większą głębi wydobywać się produkcyjną, a stąd udoskonalały się gospodarstwa. Historia przemysłu angielskiego, jak powiada autor, nie ma przykładu w dawniejszych czasach. Przed sześćdziesięciu lub osiemdziesięciu laty, kraj z małymi miasteczkami jak inne, z drobnym i prostym przemysłem, ale z obrzednią, a stosunkowo znaczną ludnością rolniczą staje się krajem nad wszystkie inne, ze stolicą liczącą półtrzecia miliona mieszkańców, z kolosalnymi miastami fabrycznymi, z przemysłem, który wszystkiego dostarcza całemu światu a wszystko dostarczając za pomocą jak najbardziej komplikowanych maszyn, z pilną oświeconą gęsto nabitą ludnością, której dwie trzecie zajmują się przemysłem, i która całkiem inną stanowi klasę, która formuje inny naród z zupełnie innymi obyczajami, i stosunkami jak niegdyś. Przemysłowa rewolucja ma względem Anglii całkiem inną ważność jak polityczna rewolucja dla Francji i filozoficzna dla Niemiec; różnica pomiędzy Anglią z r. 1760 a Anglią z r. 1844 jest, rzynajmniej tak wielką jak pomiędzy Francją z czasów antycien regime i od rewolucji lipcowej. Najważniejszym owocem tej przemysłowej rewolucji jest proletariatu.

Koniecznym skutkiem ukształcenia się przemysłu, było skoncentrowanie ludności na pojedyncze punkta, a w skutek tego jej gwałtowne mnożenie się, które jeszcze ciągle wzrastało. Prawie cały przybytek padał na klasę proletaryuszów. Drobne mieszczaństwo znika dzień po dniu i pomaga do wzrostu liczby proletaryuszów; przepaść oddzielająca mieszczaństwo od proletariatu jest codziennie większa i dla proletaryusza zupełnie znikła nadzieja, ażeby kiedykolwiek mógł zostać mieszczańinem. Położenie klasy robotniczej,

Tadeusz Kubiak

BUT GENERALA

(Poemat o generale Świerczewskim)

I

Na podeszwie generalskiego buta,
na żołnierskiej podeszwie październikowej rewolucji
linie frontów, przez które przeszedł,
drogi wolności zaszcutej,
miasta, wsie, parafie, gminy,
systemy budowane przez wyzysk i ucisk,
pośmiertne maski stolic
odlane z kości słoniowej
i niedoskonałego złota,
kopalniane odciski myśliwskich strzelb
i innych nienawistnych mu narzędzi mordu
pokrytych rdzą i śniegami —
historia ostatnich trzydziestu lat,
pośmiertna maska faszyzmu,
który chciał dzielić świat,
jak skórę na żywym jeszcze niedźwiedziu.

To wszystko ujrzyś na podeszwie
generalskiego buta —
na żołnierskiej podeszwie październikowej rewolucji.

Ten but nie znał śliskich, lodowatych
konferencyjnych podłóg.
Nie potykał się na wysokich progach Wall Streetu,
nie deptał kolorowych kości
z pasją zwierzęcą i podłg.
Wciągnięty na nogę, której nie obca była
nagość
w dzieciństwie na Woli nawet zimą —
szedł uparcie wzburzonym światem. Linia
okopów wrastała weń za linią.

Wciągnięty na nogę
pod Moskwą w siedemnastym roku
w październikowy, dżdżysty dzień walki
zrobił się na zawsze z żołnierską stopą.

Zrzadka dotykał spokojnej ziemi
w zielony wieczór —
w tej Europie jak Madelon
lat czterech rodzącej
dzieci ciągle na rzeź, pełnej złych przeczuć.
Nigdy nie szedł obok miaciutkich,
leciutkich jak motyle —
Wiecznie pod tym butem paliła się ziemia.
Wołał tę stopę żołnierską — żandarmski kontynent.

Na pomoc! — wołał.
Drogi wojenne mówiły — Prowadź!
Europo — (Mario, Nataszo, Madelon)
bądź wolna, czysta i zdrowa.

III

Jak na mapie sztabowca na podeszwie
generalskiego buta wysledzisz
wśród pochodów wielkiej rewolucji

i ścieżek w winnicach zawistych —
drogę samej wielkiej tęsknoty
do własnej ojczyzny nad brzeg,
nad łożę równinnej Wisły.

Meldowali mu obcojęzyczni
w trzydziestym szóstym i siódmym —
Sto miast umęczono,
tysiąc szumiących wsi zasypało
ziemią i szkarłatnym powietrzem.
Podcięto w rozkwicie dziesięć tysięcy róż.
Milionowi sprawiedliwych głowy
odrabano średniowiecznym mieczem.
Mściwy nóż.
Rdzawy nóż.
Gniewu nóż.

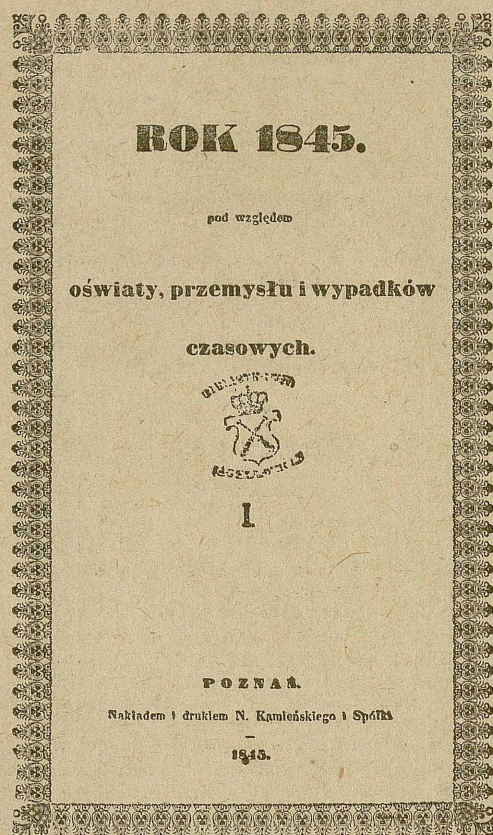
Meldowali mu potem swoi
w czterdziestym trzecim i czwartym —
Tysiąc miast umęczono.
Powierzono głupim i złym los stolicy.
Tysiąc wsi obrócono w popiół.
Zcięto tysiąc topól
na szubienice.

Zanurzył się but generała
w śniegu Europy wschodniej,
w śniegu Europy środkowej.
Przywdziany na nogę w dniu rewolucji
szedł po skłóconej ziemi.
Nie ominął ani jednego frontu,
ani jednego okopu dżdżystej jesieni.

Nie ominął ani jednego szlaku
wyznaczonego powracającym ptactwem.
Wszystka wędrowkę znajdziesz na żołnierskiej podeszwie.
Nieprzeniknione drogi otworzone słońcem.
Krajobrazy wpisane w szprychy kół armatnich,
w rumowiska kamieni, w deszcze.

Wśród ludzi ze zmęczenia padających
całkiem zwierzęco,
wśród koni zamykających w marszu oczy
całkiem ludzko —
wśród nocy chrapliwych od walk,
w dolinach jak muszle szumiących —
meldowano mokremu od śniegu,
spalonemu jak słońcu dębom od słońca.

Był zawsze przeciw tym, którzy
chcieli dzielić świat między siebie,
jak skórę na żywym jeszcze niedźwiedziu.
Nienawidził rąk obliczających
zyski z kolonialnych podbojów.
Widziano go często na czele kompanii.
Szedł na przdzie.



„Rok 1845 pod względem oświaty, przemysłu i wypadków czasowych“ (Na okładce błąd zcerski: Winno być „Rok 1846“ — przyp. red.)

to jest położenie niezmiennie liczniejszej większości, tych ludzi, którzy dziś to spożywają co wczoraj zarobili, którzy swymi wynalazkami i swoją pracowitością stworzyli potęgę Anglii, którzy dzień za dniem lepiej się dowiadują o potęgę swojej, i codziennie silniej dopominają się udziału przy korzyściach z urządzeń społecznych; — pytanie to od wprowadzenia bilu dotyczącego się reformy, stało się pytaniem narodowym. Klasa średnia wykreca się z odpowiedzi na to pytanie, daremnie czyni zabiegi, aby swój interes udać za narodowy, z każdym zgromadzeniem się parlamentu, klasa wyrobnicza zyskuje przestroniejsze pole, prawie wszystkie ważniejsze rozprawy parlamentu redukują się na ten przedmiot. Atoli jest już czas, aby angielska średnia klasa nie dopraszała się, ale odgrazającą i domagającą się wyrobnikom porobiła przyswojenia, bo w krótkim czasie, może właściwa pora przeminąć. Ale pomimo to wszystko średnia klasa angielska, a mianowicie fabrykantów, którzy pobogacili się samą nędzą wyrobników, nie chce ani słuchać o tej nędzy. Czując się przy władzy i uważając się za cały naród, wstydzi się bliźni i odniesionej rany, i nie chce się z tego wydać przed światem; wzdyga się od wyznania że wyrobnik są nieludźko biedni, bo na nią jako posiadającą ziemię spadalaby moralna odpowiedzialność, za tak srogą biedę. Stąd to te ironiczne twarze Anglików średniej klasy, a tylko ta klasa znana jest na stałym lądzie — przy każdej rozmowie dotyczącej się wyrobników; stąd to całkiem nieświadomość stosunków wyrobniczych; stąd te śmieszne szamotaniny się, które ta klasa w parlamencie i po za jego murami robi, gdy wchodzi na stół sprawa pro-

letaryacka; stąd to ta uśmiechająca się obojętność na pokładzie słabym, który zakrywa przepaść, który pęknąć może co chwila, o którym jest prawie matematyczna pewność, że pięknie i klasie średniej da spaść na złamanie karku. Trzeba się dziwić i dziwić niesłychanie, że Anglikom nie mają jeszcze ani jednego należytego dzieła o położeniu wyrobników, lubo od wielu już lat około tego się krzątają i kleją i latają. Stąd na drugą stronę ta ponura nienawiść wyrobników głązgowskich i londyńskich naprzeciwko ludziom bogatym, co ich systematycznie eksploatują i bez uczucia na pastwę srogiemu losowi rzucają.

Dał Engels wprowadza czytelnika do wielkich miast i obznajmia go z położeniem wyrobników, tak jak mu się własnymi oczami przypatrzył. W Londynie pokazuje nam przód wspaniałe gmachy stolicy, olbrzymie warsztaty okrętowe, okrętami pokrytą Tamizę i nareszcie wprowadza w ruchliwy natłok po ulicach. Ale i to ma już w sobie coś uderzającego, coś takiego przeciw czemu o-burza się natura człowieka. Te setne krocie tysięcy klas rozmaitych i wszelkich stanów, które się tłoczą, czyż nie są prawnie ludźmi, z temi samymi zdolnościami i przymiotami i z tym samym interesem osiągnięcia szczęścia? czyż nie mają ostatecznie równego prawa do ubiegania się o to szczęście? A przecież pcha się jeden obok drugiego, jak gdyby w niczem nie byli do siebie podobni, nie mieli równego prawa, a jedyna w milczeniu zawarta pomiędzy nimi umowa na tem polega, że każdy trzyma się strony trzeciej, którą ma na prawo, aby się jeden koło drugiego przemyczał, a prąd płynący ciżby, żeby się nie zatykał i nie tamował; nigdy nie wpada do myśli jednemu aby na drugiego przynajmniej wejrzał. Brutalna obojętność, odosobnienie się oziębie tylko z uwagą na prywatny swój interes, odbija się tam niemilej i w bardziej odrażający sposób, o ile te pojedyncze osoby w szczuplejszym okręgu tłoczą się. Chociaż się to wie, że to odosobnienie się indywidualne wszędzie jest ideą podstawą naszej społeczności, przecież nigdzie tak bezwstydlonie nie występuje, z taką świadomością o swym bycie, jak właśnie w tej ciżbie wielkiego miasta. Rozłożenie się ludzkości na monady, z których każda ma oddzielną principium swego życia — a i cel całkiem oddzielny, świat atomowy podnosi się tu do najwyższego szczytu. Stąd też wypływa, że ta walka socjalna jest wojną wszystkich przeciw wszystkim. Każdy człowiek w drugim szuka tylko przydatnego do zyskiwania subiektu, jeden usiłuje wyciągnąć korzyść z drugiego, a stąd wynika, że mocniejszy coraz silniej przytłacza słabszego, a mała liczba mocnych, to jest kapitalistów, wszystko dla siebie zagrabia, kiedy słabi, ubodzy, ledwo nago przy życiu pozostają. Londyn w tym względzie nie stanowi wyjątku: to zjawienie również się znachodzi we wszystkich wielkich miastach i w nich przewrotność naszych urządzeń społecznych wybija się najwyraźniej. Ale te niekorzystne stosunki nikogo bardziej nie przygnębiają, jak człowieka ubogiego. Nikt się o niego nie kłopotuje; porwany i rzucony we wir na bystrzynie, musi się walczyć i siłować jak może. Spotyka go szczęściem jakie zatrudnienie, to oczekuje go zapłata, która zaledwie wystarcza na utrzymanie w kupie ciała i duszy; nie dostanie roboty, to może sobie krasnąć, a boi się policzyć to może umierać z głodu. Engels powiada, że w ciągu jego bytności w Anglii przynajmniej 20 do 30 ludzi z towarzyszeniem najsilniej oburzących okoliczności z głodu prosto pomarło. Najgorszą jednak jest tu niepewność zagra-

żająca ciągle wyrobnikom, że w takie położenie snadno wpaść może.

Współubieganie, niesłabość stosunków handlowych, a stąd zmieniające się ciągle przesilenia handlowe wywołują to smutne położenie. Współubieganie pomiędzy wyrobnikami zniża dzienną ich płacę do najniższego punktu przynajmniej na tak długi czas, dopóki jest tylu wyrobników, że pomiędzy nimi przebiegać można i pewna liczba bez zatrudnienia pozostać musi. Niejaka zaś rezerwa tych niezatrudnionych wyrobników, nawet w czasie w którym najwięcej było zatrudnień, zawsze się znajdowała. Najniższa płaca, czyli jej minimum zależy od stopnia potrzeb, do jakich człowiek w swoim stanowisku przywykł. Stąd według rozmaitości wszystkich gałęzi zatrudnień płaca jest najwyższa dla pracowników przemysłowych, bo ich potrzeby przez to są kosztowniejsze, że oni należą do klasy mającej więcej wykształcenia. Pod tym względem bardzo szkodliwy wpływ wywiera wychodźstwo irlandzkie. Irlandczyk przyzwyczajony jest okrywać swe ciało byle łachmanami, przywykł mieszkając z całą swą rodziną i ze świnią, do których tak przywiązany jest niemal jak Arab do swego konia, w jednej i tej samej izbie, albo raczej w jednym chlewie; żyje samymi kartoflami i to jeszcze w małej ilości; ma więc przed rodowitym Anglikiem pierwszeństwo w przyjmowaniu do pracy, przy której gra rolę prosta tylko siła człowieka — dlatego, że zadawała się mniejszym wynagrodzeniem. Ze spadaniem dziennej płacy, spadał ciągle i wyrobnik jako członek społeczeństwa; przez wzrastanie liczby wyrobników wielu z nich zostało bez chleba. Kryzysy handlowe nie mają swej podstawy w jestestwie przemysłu i współubieganiu się. Przy dzisiejszej nieregularnej produkcji i przy rozdzielaniu artykułów żywnościowych, które pomyślano nie tylko na zaspokojenie rzeczywistych potrzeb, ale także dla pieniężnego zarobku, obok systemu, podług którego każdy na swoją rękę pracuje i wzbogaca się, raz po raz musi się zdarzać zataśmowanie ruchu. Anglia np. zaopatruje mnóstwo krajów najrozmaitszymi towarami. Lubo więc fabrykant wie ile z każdego artykułu każdy kraj corocznie spożywać może, przecież jednak nie może wiedzieć, ile tam wysyłają jego konkurencji. On jest w stanie tylko z ciągle wahającą się ceną wyciągnąć wniosek domniemany, ale bardzo niepewny, w jakim stosunku zostają zapasy do potrzeby i dlatego musi wysłać swoje towary na chybił trafił. Wszystko dzieje się na oślep, po omacku a pod chorągwią nieprzewidywalności i przypadku. Za usłyszeniem jakiejś takiej pomyslniej nowinki wyprawia wszystko, co tylko może — mało czasu upłyne a targ towarami przepelniony, sprzedaż się zatyka, kapitały nie wpływają na termin, ceny spadają na łeb na szyję, a nareszcie przemysł angielski stanął i nie ma zatrudnienia. W początkach rozwijania się przemysłu, zataśmowania w handlu osiągały tylko niektóre gałęzi fabrycznych i zdarzały się na malej liczbie rynków, ale przez działalność centralizowaną, współubieganie się o zatrudnienie, które nie potrzebują usposobionego wyrobnika i przez to, że towary niepożądane na jednym rynku nie znajdują drugiego rynku zapewniającego zbyt, namnożyło się coraz więcej drobnych kriz handlowych, które zaczęły tworzyć szereg bardzo złego i szerokiego wpływu stanowiący jeden ogromny. Taki kryzys zjawia się prawie co pięć lat po krótkim kwitnieniu lepszego bytu ogólnego; targ krajowy jak i zagraniczny zapelniony jest towarami i zaczyna się odchodzić niezmiennie zwolna. Wtenczas cały ruch prze-

mysłowy utrzymuje się na wszystkich stanowiskach; drobni fabrykanci i kupcy, którzy nie są w stanie wytrzymać bez powrotu do nich kapitału rozwiązanych, bankrutują wielu zaś zatrzymują w biegu swoje maszyny i operacje przez czas niejaki. Tymczasem płaca dzienna wyrobnika zniża się do ostatniego szczebla, powszechna nędza pada na ludzi pracy, instytucje dobroczynności przepełniają się, podatki na utrzymanie ubóstwa muszą rosnąć, a wszystko nie jest w stanie zapobiec głodowi i oczywiście na czas niejaki ukazuje się przeludnienie ze wszystkimi swymi skutkami. Wyrobnik bez zatrudnienia bez chleba w świat popchnięty, musi przemysłować, jak przebrać z opłakany życiem do szczęśliwszej pory. Niejeden zahaczy się przy byle zatrudnieniu, w którym dopomaga znowu do jeszcze większego zniżenia płacy dziennej, drudzy nędznieją a nareszcie przechodzą do lepszego świata.

Engels oskarża średnią klasę angielską, że gdy się zna dobrze na tem wszystkim, a nie myśli o środkach zaradczych, dopuszcza się wyraźnego socjalnego rozboju. Suchoty, słabość płuc, tyfus i rozmaite inne choroby, zdaniem lekarzy są następstwem podobnie nędznego stanu rzeczy. Nieregularna dieta, zły pokarm pociągają za sobą zgubne skutki. Do tego dochodzi szkaradny zwyczaj pojenia dzieci wódką a nawet i opium, a z tego wszystkiego plus jeszcze rozmaite inne okoliczności muszą wyrastać słabowite i chorobliwe pokolenia. Wszyscy wyrobnicy angielscy z małym bardzo wyjątkiem mają niesłychanie słabe żołądki a ich położenie, szczególnie po karmie nie pozwala nigdy wzmocnienia. Nadto wyrobnik nie może pomyśleć nigdy o porządnej kuracji, bo skądże by brał lekarstwa. Ucieka się do rozmaitych rozpowszechnionych lekarstw, które jakkolwiek same przez się nie są szkodliwe, przecież przez swe częste i długie używanie, chorobę, którą miały zniszczyć, jeszcze bardziej podnoszą. Bardzo to rzadki przypadek, żeby wyrobnik osiągnął późną starość, już przez to i podobne wpływy niezmiennie się przerzedzają szeregi proletariackie, lubo nie w stosunku ich rekrutowania się, — do tego przychodzi ogromne marnowanie się dzieci. Mąż i żona muszą być ciągle poza domem, dzieci muszą zostawać pod obcym dozorem, który zwykle bardzo słabo zastępuje rodzicielską opiekę. Co za opadnięcie na duchu z tego wszystkiego, a szczególnie z tej niepewności względem swego położenia, musi wpływ wywierać na wyrobnika. Żyje on dobrze, dopóki ma należyty zarobek. Robieniem oszczędności głowy sobie nie zawraca, boję się to na nie nie zdało. Oszczędności wszelkie z jego strony mogą być tylko drobnostkami i nie potrafią mu zabezpieczyć utrzymania przez czas, w którym będzie bez roboty. Najgłębszym źródłem opadnięcia na duchu jest przymusowa robota. Jak dobrowolna produktywna praca przynosi największą rozkosz, tak przymusowa jak najprzykrejsza, najbardziej upokarzająca męczarnia.

Wyrobnicy, lubo niewiele pomiędzy nimi umie czytać, rozumieją bardzo dobrze swój interes i interes mieszczaństwa; stosunki rozwinęły ich umysł praktycznie tak dobrze jak szkoła, tylko że się zupełnie usunęli z pod wpływu religijnego i nienawidzą swych duchownych. Nie mają żadnego postrzegania dla porządku społecznego, bo utrzymują, że przeciw nim wymierzony i że się tylko przeciw nim zawiązał; walczą ciągle przeciw całemu społeczeństwu, a wykaz przestępstw kryminalnych co rok większy w tabelach, jest bardzo wyraźnym dowodem tego. Formują się zwolna mające się spotkać obozy, jeden mieszczański a drugi proletariacki.

(c. d. n.)

Jan Szczepański

O orientację w rozwoju kultury na wsi^{*)}

(artykuł dyskusyjny)

1. Z HISTORII OŚWIATY NA WSI

W r. 1770 biskup Massalski ogłosił konkurs na temat „Jakie nauki należałoby dawać kmiotkom?“ Nagrodzono pracę księdza A. Popławskiego, który uważa, że nauki te powinny mieć na celu pożytek fortun szlacheckich. W tym fakcie znajdujemy jasne stanowisko klasowe, które nadszadę będzie piewno pracy oświatowej na wsi przez cały wiek XIX. Bo przecież i słynna Komisja Edukacji bardzo podobnie określiła zadania szkółek wiejskich. Wszystkie próby szerzenia oświaty dla ludu podejmowane w pierwszej połowie XIX wieku, przez oświeconą szlachtę, były wyrazem albo czyściem przejawiającym interesu klasowego, albo też przesłoniętym delikatną zasłoną filantropii społecznej. Z czasem ta filantropia przybiera postać obowiązku społecznego, wykonywanego przez „starszych braci“ wobec ludu, który należy przygotować do przyszłych zadań. Wystarczy porównać takie wydanictwa jak „Kmieć prosiowski“ F. B. Piekarskiego z 1811 r. czy też „Pielgrzym z Dobromila“ I. Czartoryskiej z 1818 r. żeby zobaczyć w jaki sposób wyobrażano sobie kulturalne potrzeby ludu.

Nowe tendencje wniosło Towarzystwo Demokratyczne, którego działacze, przekonani

ję, że praca oświatowa jest niezbędnym warunkiem przygotowania do pracy politycznej. Tragiczne doświadczenia demokratów, stwierdzających, że lud znajduje się poza narodem, że „lud należy dla polskości pozyskać“, prowadzi do szukania drogi i sposobów „wprowadzenia ludu do narodu“, wykorzystania jego sił dla budowania narodowej przyszłości. Romantyczna to była droga, prowadząca przez takie hasła jak „zdobywanie umiejętności ludu“ gdyż „polski lud to ojców twój“. Ideologia pozytywizmu, przeciwstawiająca się romantyzmowi, wnosi nowe elementy do oświaty ludowej. Kładąc nacisk na elementy zawodowe i praktyczne, pozytywizm nie podzielał wiary romantyków, że „oświata ludu dokona cudu“, lecz dąży do takiego pokierowania pracą oświatową, aby położyć podstawy pod rozwój siły gospodarczej narodu. Ideałem pozytywistów polskich jest silne ekonomiczne mieszczaństwo zachodniej Europy, stojące wysoko społecznie i politycznie, dzięki swej organizacji i mocy gospodarczej. W hasłach oświatowych pozytywizmu znajdziemy odbicie tych ideałów. „Bogactwo podnosi, waśń wewnętrzna łagodzić“, orzekło jedno z hasel pozytywizmu.

Na gruncie hasel pozytywistycznych wyrosła działalność oświatowa na wsi wielu towarzystw powstałych w drugiej połowie XIX wieku. Zdawano sobie sprawę, że nie można zbudować silnego narodu, w którym niższe klasy, chłopci i robotnicy, będą stali na tak niskim poziomie kulturalnym, że nie będą mogli brać udziału w życiu narodu. Stąd działalność takich instytucji oświatowych jak: Stowarzyszenie Gwiazda, z 1869 r., Stowarzyszenie Szerzenia Oświaty po wsiach, założone w 1870 r. Towarzystwo Oświaty Ludowej założone w 1881 r., Macierz Szkolna, założona w 1882 r., Towarzystwo Czytelni

Ludowych z 1880 r. była filantropijnym działaniem ludzi kierujących się motywami solidarystycznymi, starających się wprowadzić jakąś część ludu do udziału kulturalnego w życiu narodowym.

W Polsce tego okresu obserwujemy zjawisko, przewyciężania celową akcją filantropijną warunków feudalnych, tych warunków, które na zachodzie Europy zmiołły zwycięski rozwój kapitalizmu. Kapitalizm w kraju u nas rozwijał się z opóźnieniem i inaczej niż na Zachodzie. Nie powstawały w Polsce wielkie miasta i fabryki poturbujące wolnej siły robotczej, stojącej na dostatecznym poziomie, by móc ją wprzeć do pracy w przemiale. Kapitalizm w Polsce był typu kolonialnego i żądał robotnika najciemniejszego, podatnego na najgorszy wyzysk. Nie było polskiego państwa kapitalistycznego wprowadzającego powszechne nauczanie i inne reformy oświatowe. Taki kapitalizm nie stworzył dlatego w Polsce tych warunków, w których zamożność wyzwoleńców chłopów mogłaby się podnieść szybciej i wyżej, jak to dokonało się z pewnymi odłamami ludności wiejskiej na Zachodzie. Dlatego dążenia uświadomionych przedstawicieli klas wyższych, przez cały wiek XIX, łącząc się z różnymi postępowymi ruchami społecznymi, mają na celu jednostronne oddziaływanie na „lud“, ażeby dać mu początki umiejętności, potrzebnych do rozbudzenia własnych dążeń i świadomego nimi kierowania. W każdym razie jest to działalność filantropijna klas wyższych, w której chłopci są tylko przedmiotem oddziaływania.

2. WYZWOLEŃCZY RUCH CHŁOPSKI I JEGO DĄŻENIA KULTURALNE

Obudzony i zorganizowany przez działaczy klas wyższych polityczny ruch chłopski, roz-

począł na przełomie wieków nową walkę o podniesienie oświatowe wsi. Podjął on tę samą walkę z przeżytkami feudalizmu, których nie zburzył w Polsce kapitalizm, a które okazały się przeszkodą, tamującą rozwój ruchu chłopskiego, nadającą mu zupełnie swoiste piętno społeczne, ideologiczne i polityczne. Zarówno ruch wyzwolenczy robotników, jak i chłopów stawiał sobie wielkie zadania społeczne i kulturalne. Oba ruchy przechodziły w początkach przez okres utopijny. Kiedy ruchy robotnicze, po doświadczeniach i walkach w pierwszej połowie wieku XIX (zwłaszcza w Anglii), zdążyły sobie sprawę, że wyzwolenie robotników może się dokonać tylko siłami samych robotników, i przystosowały się do tego zadania ideologicznie i taktycznie — nie pozostało to bez wpływu na samodzielny ruch chłopski. Patrząc na główne tendencje, nurtujące ruch chłopski w Polsce, możemy dostrzec wyraźnie ten moment, kiedy pod działaniem różnych warunków zjawia się hasło podniesienia wsi siłami samej wsi.

Hasło to jednak miało zupełnie inny sens historyczny, niż w zastosowaniu do klasy robotniczej. Istniała zasadnicza różnica między klasami chłopskimi a wszystkimi innymi klasami, jakie kolejno występowały na arenie historii i wytwarzały określone typy społeczeństw i kultur. Chłopi istnieli we wszystkich typach społeczeństw, a w okresie tworzenia się społeczeństwa feudalnego, we wczesnym średniowieczu, grali już ważną rolę, nie mogąc jednak zdobyć takiego znaczenia społecznego, jakie zdobyło rycerskie ziemianstwo, i popadając w jego niewolę. Ustrój feudalny przewyciężony został przez mieszczaństwo, które obalwszy feudalizm w szeregu krwawych rewolucji, stworzyło społeczeństwo kapitalistyczne, z innym ustrojem

*) Tezy z przemówienia wygłoszonego na zjeździe wychowanków Uniwersytetu Ludowego w Brusie. Artykuł prof. Szczepańskiego drukujemy ze względu na ważność postawionego w nim zagadnienia rozwoju kultury na wsi (a w szczególności społecznej funkcji świetlicy wiejskiej). Nie ze wszystkimi tezami Autora zgadzamy się i dlatego traktujemy artykuł jako dyskusyjny, sądząc, że wywoła on wiele wypowiedzi uzupełniających i wyjaśniających do końca zagadnienie rozwoju kultury na wsi. Redakcja

i inną kulturą. Chłop zdobył wolność polityczną, lecz o ile nie wszedł do klasy kapitalistów wiejskich, popadł w niewolę ekonomiczną kapitalisty. Znowu na grzbietach chłopskich pisano historię, nie dopuszczając chłopów jako klasy do czynnego jej tworzenia. Przewyciężenia ustroju kapitalistycznego dokonuje klasa robotnicza, która, wychodząc z dna społecznego na początku wieku XIX, rozwinęła się jako wielka siła społeczna, zdolna do rewolucyjnego przekształcenia świata, stworzenia nowego społeczeństwa i nowej kultury. Wraz ze zwycięstwem klasy robotniczej zaczyna się nowy okres w historii klas chłopskich. Zjawia się szansa historyczna dla odegrania twórczej roli w dziejach narodu.

Wyrasta ona ze zbieżności dążeń zachodzących między tymi klasami. Rewolucja robotnicza mogła być skuteczną tylko przy poparciu „nowego wydania wojny chłopskiej” — jak się wyraził Engels. Lecz zanim dojrzało do zrozumienia w szeregu chłopów, ruch ludowy przeszedł drogę, walcząc z pozostałościami feudalnymi na wsi polskiej. Z tej walki też wyrastały dążenia kulturalne ruchu ludowego. Dlatego wydawało się działa-

czom ludowym, że ruch ludowy może się ograniczyć do dawnej i własnej kultury ludowej. Szukając sposobów przewyciężenia upośledzenia społecznego i kulturalnego wsi, przez podkreślanie godności człowieka chłopca, tak nieudolnie poniewieranej w ciągu wieków, ruch chłopski zwracał się do tego dorobku wsi, wytworzonego w ciągu tysiącletniej historii klas chłopskich — do kultury ludowej. Był to przedmiot dumy chłopskiej, że to co było najpiękniejszego w poezji Mickiewicza i muzyce Chopina, pochodziło z dorobku kultury ludowej. Lecz mimo to, że kultura ludowa, kultura mas pracujących jest odwiecznym i nigdy nie wysychającym źródłem zasilającym twórczość kultury narodowej, nie mogła ona spełnić tej roli, jakiej od niej się spodziewał wywołujący ruch ludowy z przodującym, rewolucyjnym ruchem klasy robotniczej na czele. Była to kultura tradycyjna, przekazywana tradycją ustną, kryjąca w sobie wielkie skarby, lecz nie nadająca się zupełnie do spełnienia tej roli, jaką jej historia wyznaczyła, roli odrodzenia kulturalnego wsi, wyrównania jej upośledzenia i dorównania twórczego współczesnym zadaniom, walczących z ustrojem kapitalistycznym klas robotniczej i chłopskiej i niosących w sobie treść do zbudowania kultury nowego ustroju. Robotniczy ruch socjalistyczny opierał się na postępowym, rewolucyjnym dorobku kultury europejskiej, przemawiał jej cele i kontynuował jej tendencje rozwojowe. Stąd oświata robotnicza wprowadzając robotnika w hasła i problematykę ruchu socjalistycznego, wprowadzała go w wielki, nowoczesny prąd społeczny i kulturalny, idący przez cały świat prąd postępowy, otwierający robotnikowi szeroki horyzont spraw międzynarodowych i dający perspektywę na wielkie procesy historyczne. Natomiast kultura ludowa nie mogła spełnić tego zadania. Wiedź podnosiła się przez kapitalistyczny postęp techniczny, i takie podniesienie gospodarce, przez zorganizowanie polityczne i wykorzystanie liczebności klas chłopskich jako narzędzia walki politycznej w granicach ustroju demokracji liberalnej.

Teoretycznie istniały w latach międzywojennych dwie drogi rozwoju przed wsią polską: albo w ramach społeczeństwa i gospodarki kapitalistycznej organizować się gospodarczo, stawiając sobie jako wzór tę drogę rozwojową, którą przeszła n. p. wieś duńska, lub też korzystając z nowych perspektyw, jakie otwierała gospodarka kolektywna, rozpocząć w Związku Radzieckim, szukać wyjścia w tym kierunku.

Tendencja sił burżuazyjno-ziemiańskich w kierunku kapitalizacji wsi (co w praktyce oznaczało: dekapitalizację). Ruch ludowy poszedł tą drogą. Ideologicznym tego wyrazem był agraryzm, jako konsekwentna a w rezultacie wyrodniejąca forma ideologii chłopskiej w polskich warunkach międzywojennych. Bo trzeba pamiętać, że ruch ludowy walczył jeszcze z pozostałościami feudalizmu, że kapitalizm uważał go za swojego sprzymierzeńca w walce z obszarnikami. Pokutowały w ruchu ludowym te same utopijne złudzenia, które kazały ruchowi robotniczemu w Anglii przed 1832 r. popierać mieszczaństwo w walce z to-rysowską reakcją. Dlatego ruch ludowy kulturalnie nawiązywał wstecz do własnych zachowawczych tradycji ludowych i jakkolwiek uczył chłopów szacunku dla własnego dorobku kulturalnego, dawał mu poczucie godności i własnej wartości, pchał go do zrostu z przeszłością, wartościami pielęgnowanymi, rozbrajał go wobec zadań przyszłości.

Wtedy to ruch ludowy zaczyna wytwarzać własne instytucje kulturalne, pojawiają się domy ludowe i świetlice na wsiach. Zadania ich były określone w różny sposób: najogólniej można powiedzieć, że były one instytucjami uświadamiania kulturalnego bardziej jeszcze warstwy chłopskiej niż antagonizujących, walczących klas chłopskich. Są one jedną z wielu różnych form pracy oświatowej, jaka zaczyna się na wsi. Obok szkolnictwa powszechnego, szkół rolniczych, powstaje nowy typ instytucji kulturalnej ruchu ludowego — uniwersytet ludowy.

3. PRZEBUDOWA WSI A POZIOM I TREŚĆ KULTURY MAS CHŁOPSKICH

Procesy przebudowy społecznej i gospodarczej rozpoczęte wraz z wyzwoleniem z okupacji niemieckiej, zastały dlatego masy chłopskie w dużym stopniu nieprzygotowane kulturalnie. Procesy te przyniosły klasom chłopskim udział we władzy politycznej wraz z klasą robotniczą, otworzyły szerokie możliwości zlikwidowania wszystkich wiekowych upośledzeń wsi, wyrównania krzywd i wejścia na drogę postępu. W czym wyrażało się nieprzygotowanie kulturalne chłopów do tej nowej roli historycznej? Zbyt wielki był odsetek analfabetów na wsi a zwłaszcza wśród kobiet wiejskich, zbyt mała łączność mas chłopskich z dorobkiem ogólnej kultury narodowej i europejskiej, za mała możliwość orientacji w wielkich procesach historycznych, nieskrystalizowana świadomość własnej postępowej, rewolucyjnej ważności społecznej, brak wyobrażeń dostatecznie wyraźnych o własnym miejscu w historii narodu.

Historia wskazuje, że każda klasa, objawiając swoją polityczną lub też dosłownie do ważności społecznej, stwarzała sobie instytucje kształcące, wyrównujące poziom i umożliwiające spełnienie zadań dziejowych tej klasie narzuconych.

W okresie międzywojennym ruch chłopski zaczął sobie wytwarzać takie instytucje. Uniwersytety ludowe, koła młodzieży i prowadzone przez nie świetlice miały przygotowywać chłopów do zarysowującej się „agrarystycznej” w przyszłości roli społecznej i politycznej. Teraz jednak, kiedy procesy przebudowy wsi już się rozpoczęły, kiedy klasy chłopskie w sojuszu z robotnikami objęły władzę w państwie, należy tym instytucjom nadać nowy charakter, wynikający z rewolucyjnych zadań stojących przed wsią.

Należy przebudować postawę mas chłopskich, wciąż jeszcze nastawioną na walkę z pozostałościami feudalnymi i nie dość rozumiejącą zadania, wynikające z walki z ustrojem kapitalistycznym. W okresie kiedy głównym wrogiem klas chłopskich był obszar-nik, pleban i przedstawiciel państwa stojącego na straży pańskiego majątku, oraz kiedy działanie krzyżu dosięgającego wieś be-litośnie przeprowadzało złudne równanie w dół wszystkich warstw chłopskich, w zacierających się pozornie różnicach w strukturze klasowej wsi, ideologia solidaryzmu chłopskiego mogła odżyć i nabrać siły. Wynikała ona bowiem z walki z ziemiaństwem. Ideologia ta i walka z ziemiaństwem nadawały społeczno-polityczną treść działalności kulturalnej chłopskich instytucji oświatowych. Wystarczy przejrzeć „Przewodnik” pracy kół wiciowych z okresu międzywojennego, ażeby stwierdzić, jak dalece walka z przeżytkami feudalnymi wyznaczała kierunek i treść pracy oświatowej kół.

Przebudowa wsi rozpoczęta reformami wojennymi, stawia pracę oświatową na wsi przed nowymi zadaniami. Inny kierunek walki społecznej i politycznej, inny kierunek dążeń gospodarczych, wymaga w walce o nowy ustrój pracy planowej stworzenia instytucji stałego oddziaływania, równomiernego i długofalowego. Praca oświatowa powinna dać chłopu techniczną i naukową podstawę przeprowadzenia skutecznego rozpoczętych reform. Nie może urzeczywistnić nowego ustroju klasa posiadająca znaczny odsetek analfabetów, nie może wejść na nowe tory gospodarki klasa odcięta od wiedzy technicznej w swojej dziedzinie, nie może rządzą politycznie klasa nie mająca w swych masach poczucia swego historycznego znaczenia i ważności dziejowej. Zanim mieszczański angielski czy francuski sięgnął po władzę polityczną, opierając się na swej mocy ekonomicznej, według słów Woltera „przepojony był dumą i niebezpiecznie porównywał się do obywatela rzymskiego”. Klasa nie mająca zrozumienia i świadomości swej roli historycznej nie może rządzić skutecznie, tym bardziej, że znaczenie ekonomiczne klas chłopskich zupełnie nie odpowiada ich liczebności. W ten

Piotr Wyrobek

W ROKU MICKIEWICZA

(Wspomnienia)

W trwającym „Roku Mickiewiczowskim”, kiedy ożywiamy badania i edycję dzieł poety, kiedy upowszechnienie jego poezji i wiedzy o niej, staje przed nami jako zadanie narodowe, należy również zdać sobie sprawę ze stopnia dojrzałości mas ludowych do powszechnego przyjęcia Mickiewicza. Zbieżność to nie przypadkowa, że Polska Ludowa oddaje Mickiewicza narodowi i że masy ludowe biorą go powszechnie. Wspomnienia Piotra Wyrobka, 78-letniego starca, przypominają wiek ciemnoty na wsi, wiek zatem nieuchronnej rozłąki ludu z ludowym i narodowym poetą. Wiek zmagania się o przybliżenie do niego i wejście w powszechne posiadanie jego myśli i piękna. Starzec wspomnienia bezpośrednio, obejmujące 60 lat, zamyka w jednym łuku, drugi, na przyszłość, otwiera od wyzwolenia Polski po drugiej wojnie światowej, od rewolucyjnych jej przemian.

Jest w tym doświadczeniu osobistym starca, wielka, przełomowa prawda. P. Ch.

Rozwijam z mojej mózgowicy zwój wspomnień, by wyładować je na papier, by zrobić miejsce dla innych wspomnień, albowiem w dużej przestrzeni czasu mego życia nagromadziło się ich moc.

W mojej młodości może „sielskiej i anielskiej” dla drugich, lecz nie tak radosnej dla mnie, młodości chłopięcej, słuchało się opowiadań starych — jak ja dzisiaj — chłopów, też o rzeczach niewesołych i przykrych — w te długie zimowe wieczory o roku „straszny” czterdziestym szóstym. Były też w tych opowiadaniach wspomnienia wojenne mego ojca, jak na te wojny z braku kolei musiało się maszerować pieszo lub na koniach do Włoch i dalej jeszcze; były opowiadania o chłostach bykowcami za pańszczyzny, o kijach wyasygnowanych hajdukami przez mandatariuszy austriackich na chłopów. Nie małe zaciekawienie wzbudzało to, co słyszało się o „czarownicach”, które różne „ziela” skuteczne na dojność krów zbierały na Babiej Górze i roznośliły po chałupach, a kobiety kupowały je ze strachu przed nimi, zachęcane też własnym zabobonem. Wielką jednak i przejmującą grozę wywoływały opowiadania o głodowych „rokach”, kiedy to ludzie dla braku pożywienia z pól, które się nie udały, bo lata były to suche, to znowu mokre, jeździli po jakiegokolwiek ziarno „na stronę węgierską” aż do Koszyc, lecz nieraz i tam nie można było go kupić, gdyż i tam wyczerpały się zapasy. Wrócili więc z niczym — bezradni — co począć. Żyć nie musieli ludzie na wsiach podhalańskich różnymi trawami i korzonkami roślin, co przyczytniało się w dużej mierze do masowego występowania epidemicznych chorób — jak tyfus głodowy czy cholera, na przełomie połowy XX stulecia. Po tych katastrofach głodowych pozostały na uboczu wsi cmentarzyska choleryczne, świadczące o ogromie klęski głodowej.

Wtedy i później rodziny biedniejszych chłopów zadłużały się u bogatszych, dając im swe grunta w zastaw za ziarno. Zastaw ten jednak był tylko pozorny, bo gruntów zastawionych nigdy już odzyskać nie mogli, spadkobiercy tych zmarłych na cholere rodziców. W Osielcu był taki wypadek na roli Marawowej, gdzie niejaki Stanisław (czy Józef) Bogacz zwany Capek od „karbowego”, trzymał w zastawie trzy najlepsze kawałki pola za wypożyczone 30 reńskich.

Gdy w r. 1887 szewc z Makowa, niejaki Józef Ceremuga ożenił się z Marysą Szklaną naszą sąsiadką, a dowiedział się o tym, poprosił mnie, bym o tym zastawie napisał do sądu, co też uczyniłem (miałem wtedy lat 16), a skutek był niezawodny, bo się widziało potem tego Bogacza, jak chodził na wezwanie kilkakrotnie do sądu i nie pomagał mu żadne wykrety, bo naczelnik sądu jordanowskiego wydał nakaz oddania gruntu bez żadnego pardonu i bez zwrotu pożyczki. Nie jest to przyjemne wspomnienie, gdy udało się w życiu komuś coś dobrego zrobić?

Różne zjawy z przeszłości życia ludzkiego budzą człowieka w nocy nieraz, jak huk tej tu śpiewki góralskiej, niegdyś podstyszanej:

Hej, — były to czasy!
nie dziś to, ni wczora —
Wtedy, kiech wyganiał
łowiecki z kosora!
— Wej — patrz kany som
i przecierom łocy —

Spać mi się strasznie kce —
— cóż ja robił w nocy?

Hej! — jo z łowieckami
po jałowcach hasał,
Bil mnie za to łociec —
bok złe łowce pasół. —

Zdawałoby się, że to jakaś bezmyślna śpiewka, a tymczasem jej sens zawiera też wspomnienie: pastuch źle pasł, skoro owce rozpuścił po jałowcach i błąkały się tam gdzie dla nich nie było paszy — więc ojciec nie puścił mu tego płazem, bo powinien je puścić po „pajskim” lesie lub jakiejs łące. Wszak powiadali starzy już po zniesieniu pańszczyzny, kiwając głowami: „ta pajszczyzna była wej nieraz niezła dla chłopów biednych, bo było co i ukraść i wiedziało się gdzie — bez wielkiego kłopotu”.

Dobrze się teraz dzieje, że rejestruje się analfabetów, tworzy się dla nich przymusowe kursy nauczania — odrabia się zaniebdania przeszłości, kiedy to była nieodłączną nędzą na wsi, kiedy chłop modlił się, pracował i nic z tej pracy nie miał, więc podkradał. To było zjawisko społeczne ogólne, więc nie na samym tylko Podhalu występujące. Utkwił mi w pamięci ten 60-letni już okres czasu, gdyż panowała na niejedynej wsi wtedy wielka ciemnota, o oświecie nie można było myśleć, bo nie dbały o jej wprowadzenie klasy panujące, a i chłop nie widział jeszcze w niej dla siebie pożytku, i wtedy, kiedy w r. 1890 największego z poetów prochy składano uroczyste obok królów w wawelskiej katedrze.

Utkwiło mi w pamięci przemówienie pewnego wójta ze znanej mi dalszej wsi, wygłoszone w czasie uroczystości poświęcenia budynku szkolnego. Wójt zachęcony do przemówienia jako przedstawiciel wsi powiedział: „Rzekę prawdę, ale szkoła jest potrzebna — jedno trza se tak zawirować, coby dzieci do niej nie chodziły — wtedy, kiedy robota w polu i pasienie bydląt jest!” Życzyła sobie gromada, by to powiedział wobec inspektora szkolnego, który zjechał na tę uroczystość.

W młodych latach obserwowałem życie nauczycielstwa wiejskiego, wdziałem przyczyny odstręczające od wsi absolwentów seminarów nauczycielskich, którzy woleli dokształcać się na inżynierów (Joachim Traczyk z Oselca, poszedł w jego ślady Michał Bugielski ze Stryczowa) na lwowskiej politechnice, lub inni, którzy woleli iść do pracy w innym zawodzie — szli więc nawet ci najzdolniejsi z maturami z odznaczeniem — do kolei, jako dla niektórych najintrygującej, do poczty, do sądownictwa, bali się bowiem ciemnoty na wsi ówczesnej — a wieś cierpiała na tym... Odstreżala ich niska płaca początkowa — te 15 reńskich na miesiąc! Odstreżala także może też nędzą spowodowaną nieczyłnością i niekoleżeńską zaszłość ze strony nauczycieli-kierowników na niskim poziomie stojących szkół wiejskich, przeważnie 1-klasowych, gdy ktoś ze wsi wiedziony litością młodszemu nauczycielowi chciał dać (za darmo oczywiście) kapkę mleka, garnuszek masła lub kilka jajek. Znałem takich, którzy stołowali się u kierowników, placąc za wikt 10 reńskich miesięcznie, za śniadanie służyła im zaś sucha plecienka i szklanka herbaty gotowanej na maszynce — tak samo było z kolacją — to było kosztem tych 5 reńskich z owych 15-tu, ale nie wszyscy mogli korzystać z pomocy rodziny, by tą resztą zapłacić mieszkanie, gdy go dla nauczyciela pomocniczego nie było w danej szkole — lub kupić sobie ubranie i obuwie, światło i opał, gdyż i kawałkiem drewna szkolnego opałowego nie chciał się podzielić z nim nielitościwy nieraz kierownik. Może też z zazdrości nieraz, że ten młodszy nauczyciel był już lepszą od niego siłą pedagogiczną i z tego powodu lepiej się podobał wsi, że lepiej umiał podchodzić do dzieci i lepiej je uczył. Taki kierownik był rad pozbyć się takiego, co mu zawadzał i cieszył się, gdy ten zrażony niepowodzeniem z posady odszedł. Cóż jednak powiedzieć o takim nauczycielu jak znany mi zbliska — ów śp. Bonawentura Gaik, syn górnika z Bochni, który przed pierwszą wojną światową i później był kierownikiem szkoły ludowej w Toporzysku koło Jordano-

wa, bo ja nie mam słów uwielbienia dla niego, że mimo takiej nędzy, w jakiej żył, jako nauczyciel w Osielcu, Biełkowie, gdzieś tam jeszcze potrafił wytrwać na posterunku.

Szkola za moich czasów była jeszcze jednoklasowa, o jednej sile nauczycielskiej a 6-ciu latach nauki w 3 oddziałach. Był oddział niższy i wyższy w każdej klasie, więc siedziało się w każdym oddziale dwa lata. Nauka trwała od 8 godz. rano do 12 w południe. Po południu od godz. 2 do 3 uczyły się dzieci z pierwszych 2-ch lat nauki. Choć nieregularnie posyłano mnie do szkoły, bo też była przy gospodarce wszelaka dla mnie robota w polu jak i pasenie bydląt, byłem uczniem celującym i miałem wielką ochotę i zamiłowanie do nauki. Nieraz mogłem zastąpić już nauczyciela, gdy go jakaś przeszkoda odrywała od zajęć szkolnych, a nie miał zastępstwa na miejscu ani urlopu, a musiał wyjechać do miasteczka w nagłych wypadkach zachorowań w rodzinie itp. Cieszyłem się z tego, a po wyjściu ze szkoły słyszałem jak o mnie mówiono, że potrafił dorównać wiedzą tym, którzy ukończyli 6-tą klasę gimnazjalną (oczywiście bez obcych języków). Niemieckiego uczyłem się w wolnych chwilach w domu po opuszczeniu szkoły, sam sprowadziwszy sobie z Warszawy podręcznik (metodę Reusnera). Ten nauczyciel, który mnie w szkole uczył, awansował na kierownika 4-klasowej szkoły w Zawoi, gdzie miał pod nadzorem 3 szkoły 1-klasowe w przyszłościach tej wielkiej wsi, liczącej przeszło 12 tysięcy mieszkańców.

Istnienie szkoły w Osielcu wiąże się z czasem erekcji parafii w r. 1848 w tej wsi, która należała po 1560 do parafii makowskiej i jest też wynikiem zdobyczy „Wiosny ludów”. Początkowo parafialna szkoła o jednym nauczycielu-organiste, uczącym w zimie także moich rodziców, przybrała po roku 1873 nazwę szkoły ludowej jednoklasowej, w której nauczali organista i nauczyciel Czyżewski, po nim Franciszek Zabierzewski, a po tym już nauczyciele: Bicz, Sadowski, Baziński i inni. Szkoła mieściła się początkowo w wynajmowanej izbie, na roli Świsłowej, później gdy zbudowano organistowską przy kościele, miała w niej dużą salę, a gdy dzieci z powodu ich przyrostu nie mogły się pomieścić w tej sali, kupiła gmina starą murowaną karczmę w r. 1886 i nadbudowała ją, urządzając na piętrze domu 2 sale szkolne na stołtystwie. Budynek ten trwał do stycznia 1945 r., kiedy to uciekający Niemcy w popłochu spalili go, by nie był przytułkiem armii radzieckiej, która przayła wtedy hitlerowską armię na Podhalu, zmuszając ją do ucieczki na zachód. Cegły zużyto w r. 1947 do budowy transformatora. W okresie wojennym zbudowana szkoła mieści teraz 7-klasową już szkołę, obecnie mającą już 8 klasę rolniczo-zawodową.

Dziś widzi się wielki postęp tej wsi już zelektryfikowanej i powoli ale stale dźwigającej się z biedy. Chłopi oświecają się, czytając prócz gazet także książki. Jest we wsi inaczej niż dawniej, gdy, kiedy dzieci chciały coś przeczytać, to im tego zabraniano, bo szkoda było czasu i nafty. Dziś już inaczej, bo już także „Pana Tadeusza” czytają nawet kobiety wiejskie, z czego cieszyby się Adam Mickiewicz, że jego książki też pod strzechy wsi podhalańskiej zabłądziły. Bo dziś jest we wsi biblioteka, gdy nastąpiła ta Polska Ludowa, o której w czasach niewoli — my młodzie — tak ze łzą w oku marzyliśmy. Młodzież dzisiejsza ma już zapewnioną opiekę państwa, podczas gdy w czasach naszej młodości nie było komu podać nam pomocnej i przyjaznej dłoni, byśmy się mogli systematycznie uczyć.

Jakże jest inaczej, gdy nastąpiła ta Polska Ludowa, gdy młodzież chcąca się uczyć wzięła w opiekę państwo! Piszę o tym z pewną dumą, że dożyłem tych czasów, gdy stoję już na progu wieczności, że w roku Mickiewicza—Słowackiego—Chopina każda wieś nie jest już tak zacofana co dawniej. Bo są już w niej jednej wzorowe szkoły, dziecięce, świetlice, buduje się w niej wiele wygodniejszych domów i zabudowań gospodarskich, zakłada się ośrodki zdrowia i sportowiska, tworzy biblioteki i boiska sportowe, by człowiek wsi lepiej i piękniej żył.

sposób przed chłopskimi instytucjami oświatowymi stało zadanie takiego podniesienia ogólnego poziomu kulturalnego, i nasyceń tego podniesienia takimi treściami, jakie są potrzebne ze względu na przebudowę gospodarczą wsi i jej udział w nowych zadaniach politycznych.

4. DWA ZADANIA NAZELNE ŚWIETLIC WIEJSKICH

Z tego co powiedziałem wyżej, wynika jasno jedno podstawowe zadanie świetlic wiejskich. Mają one być centralną instytucją oświatową na wsi, ośrodkiem w którym zgromadzą się wszystkie prace, zmierzające do szerzenia wiedzy techniczno-zawodowej, politycznej i ogólnej. Świetlica może dopełniać wszystkie inne instytucje i formy działania kulturalnego, takie jak szkoła powszechna i zawodowa, różne kursy itp. Dopełniać je tzn. zapewnić chłopom możliwość stałego kontaktu z prasą różnego rodzaju, książkami, prelekcjami i krótkimi kursami. W ten sposób w świetlicy przez samokształcenie czy systematyczne dokształcanie można by zapewnić ciągłość kontaktu wsi z postępem wiedzy i postępem ogólnego życia kulturalnego na-

rodu. Spełnienie tych zadań umożliwia różnorodność prac, elastyczność techniki pracy świetlicowej i możliwość wielokierunkowości pracy, właściwa świetlicom. Mówiąc ogólnie, świetlica może być stacją rozdzielczą, kierującą dorobek ogólnej kultury narodowej tzn. dorobek naukowy, polityczny, i artystyczny na wieś, może być ogniwem poprzez które wieś jest w stałym kontakcie z pulsującym życiem całego narodu.

Leżąc świetlicy przypadnie również w udziale drugie niezmiennie ważne zadanie. Nie będzie ona tylko jednostronnie kontaktowała wieś z kulturą narodową. Wiemy bowiem, że wieś jest konieczną bazą kultury narodowej, że kontakt musi być obustronny, jeżeli kultura narodowa ma pozostać przejawem istotnych dążeń narodu. Walczące klasy o postęp, walczące klasy chłopskie są twórcą kultury ludowej, stanowiącej integralną część istoty kultury artystycznej każdego narodu. I pod tym względem świetlica wiejska ma drugie ważne zadanie do spełnienia: być ogniwem skupiającym aktualną wiejską twórczość mas pracujących, opiekować się nią i pielęgnować postępowe tradycje kulturalne wsi. Organizowanie i podtrzymywanie

twórczości kulturalnej ludowej i przekazywanie jej dorobku kulturze narodowej — oto wielkie zadanie świetlic.

Klasy chłopskie uznają bez zastrzeżeń program polityczny klasy robotniczej w dziele rewolucyjnej przebudowy społecznej, mają jednak poczucie swej tysiącletniej tradycji kulturalnej ludu pracującego, tradycji wiążącej je z dziejami narodu, który na swych barkach wznosił. Na straży tej oczyszczonej z obciążen wstecznych tradycji, która jest tak istotna dla utrzymania kulturalnego bytu narodowego, postępowe klasy chłopskie mogą stać skutecznie, po bardziej bezpośrednim niż klasa robotnicza. Świetlica wiejska powinna zatem stać się również instytucją twórczości kulturalnej mas chłopskich, jako części niezbędnej podstawy dla przyszłej, nowej kultury narodowej.

5. JEDNOŚĆ PLANU

Te zadania mogą być wykonane pod warunkiem jednolitości planu gospodarczego i kulturalnego. Praca kulturalna nie opierająca się na rzetelnych podstawach gospodarczych, zawisa w próżni i jest tylko marnowaniem energii i środków. Kultura wyrasta

tam, gdzie życiowe minimum potrzeb zostało zaspokojone w określonym zakresie. Stąd na pierwszym etapie świetlica powinna stać się narzędziem w gospodarczej przebudowie wsi, stałym ośrodkiem kształcącym i systematycznie oddziaływującym w przyspieszeniu tej przebudowy. Plan kulturalny jest częścią planu gospodarczego. Zależność jest tu obustronna. Bez współpracy instytucji oświatowych plan gospodarczy nie zostanie wykonany, bez wykonania planu gospodarczego nie będzie podstaw pod szeroką działalność organizowania twórczości kulturalnej. Umiejętne powiązanie prac wynikające z tych celów jest zadaniem działaczy praktyków świetlicowych. Program prac świetlicowych powinien wynikać z tej historycznej perspektywy rozwoju kulturalnego wsi na przestrzeni ostatnich 150 lat. Wytyczne tych prac określi jednolity plan przebudowy społecznej i kulturalnej. Skończył się okres partyzantki kulturalnej poszczególnych działaczy. Szanując twórczą indywidualność jednostek, nie możemy zapominać o potrzebach klasy drobnych i średniorolnych chłopów, biorącej w swe ręce współodpowiedzialność za losy narodu i państwa.

Jan Szczepański

Stefan Ignar

DROGA NASZĄ — SPÓŁDZIELCZOŚĆ!*)

Gospodarstwa indywidualne, jakie dotąd w Polsce powszechnie istniały, nie są gospodarstwami, które powstały przed setkami lat, jako coś niezmiennego. Gospodarstwa indywidualne były wynikiem zmian ustroju; wynikiem zwycięstwa kapitalizmu nad feudalizmem. W ustroju kapitalistycznym nie mógł istnieć chłop pańszczyźniany. Stało to w sprzeczności z wymaganiami intensyfikacji i mechanizacji rolnictwa; stało to w sprzeczności z rozwijającą się anonimową formą eksploatacji mas pracujących przy pomocy pieniądza, jak również z zasadami deklaracji praw człowieka i obywatela, zasłaniającej interesy burżuazji.

W ustroju kapitalistycznym mógł istnieć formalnie najemnik, bądź też chłop, właściciel parcell. Jeden miał swobodę najmowania się do pracy na folwarku, drugi swobodę sprzedawania, kupowania, pożyczania i głodowania.

W ustroju kapitalistycznym musiał istnieć wolny chłop, jako rezerwuariat armii robotników i bezrobotnych na rynku pracy. Rozwój nauki rolnictwa i techniki upraw wymagał bardziej odpowiedzialnych ludzi, wymagał wolnego chłopca, czego nie było w prymitywnej gospodarce feudalnej. Jakkolwiek powszechność chłopska w ustroju kapitalistycznym była bądź półproletariacka, bądź stanowiła masę producentów drobnotowarowych — to jednak była ona mierzwa, na której wyrastał kapitalizm wśród samych chłopów prawem kumulacji, wycisku siły najemnej, lichwy i skupu gruntów od bankrutujących biedaków. Pozory powszechnej zamożności chłopskiej w niektórych dzielnicach naszego terenu wytworzyło liczenie gospodarstw, a nie ludność wiejskiej. Poznańskie np. miało opinię bogatej dzielnicy, chłopci mieli opinię zamożnych, podczas gdy w Rzeszowskim, czy Krakowskim niedza chłopów była w oczy. W Poznańskim bowiem brano pod uwagę wielkość jednostek rolniczych. Wiemy dobrze, że w Poznańskim na tych bogatych chłopów pracowały masy bezrolnych najemników i masy chłopów, posiadających kilkumorgowe działki ziemi. Różne zabiegi stosowano dla uspienia chłopów, a między innymi kapitalistyczne prawo dziedziczenia i spadkobrania, które ekspansję chłopskiej niedzy wydłowywało w niekończących się sporach i procesach rodzinnych, z czego korzystało państwo kapitalistyczne (podatki od spadku, rejencji, sądy, adwokaci). Oczywiście, musiały istnieć wątki rozładowań dorobku i awansu, aby ogół mógł karcić się ta teorią.

W ustroju kapitalistycznym masy chłopskie reprezentowali bogacy wiejscy i razem z obszarnikami kierowali organizacjami politycznymi i gospodarczymi.

Oni reprezentowali postęp w rolnictwie. Reprezentowali masy chłopskie, mimo że te masy nie chciały być przez nie reprezentowane.

Wysokie ceny ziemi w stosunku do cen zboża uniemożliwiały pozytywne rozwiązanie problemu spłat rodzinnych. Musiało nastąpić rozdrobnienie lub sprzedaż gospodarstwa.

Z chwilą gdy pada kapitalizm w przemyśle, nie może dłuższy czas trwać ustrój rolno drobnotowarowy z półproletariatem na jednym skrzydle, a ze skwarkami kulaćkami — na drugim. Nie może istnieć pozorny „laissez faire” w rolnictwie, gdy się wprowadza planową gospodarkę w przemyśle. Nie może trwać ucisk i wycisk klasowy na wsi, gdy został w zasadzie zlikwidowany w mieście. Taki stan demoralizuje i rozwija drżę bogaczy i spekulantów oraz destrukcyjnie wpływa na klasę robotniczą i na aparat państwowy.

Gospodarka indywidualna w rolnictwie w państwie o przemysle socjalistycznym stanowił zapórę w rozwoju dobrobytu mas chłopskich i robotniczych. Taki stan może istnieć tylko w okresie przejściowym.

Praktyka społeczno-ekonomiczna w krajach kapitalistycznych wykazała stopniową likwidację chłopskiego rolnictwa.

Ekonomiści i politycy krajów kapitalistycznych wyraźnie szli i idą na wypędzenie z

ziemi mało- i średniorolnych chłopów, popierając gospodarkę kapitalistyczną.

Takim przykładem jest hitlerowska reforma rolno, która stworzyła chłopskie gospodarstwa dziedziczne o rozmiarach do 125 ha. Odmówiła masom chłopskim miana chłopca, a tytuł chłopca przyznawała tylko bogaczom i obszarnikom, tworząc kapitalistów w rolnictwie, jako tzw. „stan żywciceli”. Hitler przeprowadził w Niemczech reformę, likwidującą drobne chłopskie gospodarstwa. W Stanach Zjednoczonych również znikają drobne fermi, rozrastają się natomiast coraz bardziej przedsiębiorstwa rolne oparte na większym wkładzie kapitału, na mechanizacji i pracy najemnej. Podobny rozwój był w Czechosłowacji w okresie przedwojennym. Ci, którzy wówczas zwiędali Czechosłowację, mieli możność stwierdzić, że w Czechach panuje agraryzm i kulaćstwo, że agraryzm nie daje biednym masom chłopskim, że agraryzm czechosłowacki to kapitalizm rolniczy.

Podobna, jak wiemy, była teoria proroka agraryzmu, prof. Laura w Szwajcarii, który był się o pozycję wielkochołpskie w Szwajcarii, był natchnieniem dla naszych agrarystów; oddziaływał na teorię rolnicze w Polsce i na naszą naukę polityki agrarnej.

Z tego przeglądu widać wyraźnie, że chłopskie drobne rolnictwo przeznaczone jest na zagładę w krajach kapitalistycznych, bądź już zostało w nich zlikwidowane i opanowane przez bogaczy i obszarników.

W okresie okupacji w komisji programowej Rady Jedności Narodowej oraz w komisji programowej „ROCHA” opracowywano reformę rolno dla Polski powojennej, która miała być realizowana pod ewentualnymi rządami Mikołajczyka. Założenia tego programu zostały opracowane przy udziale ludzi, którzy wywodzili się z „Wici” i Stronnictwa Ludowego wbrew protestom terenowych oddziałów B. Ch. Niektórzy z tych „programowców” zostali dziś usunięci z PSL-u jako przeciwnicy reakcyjni. Reforma ich miała polegać na likwidacji małych rolniczych chłopów, na wyrzuceniu ich z ziemi za przykładem hitlerowskich reformatorów.

Reakcyjny program z czasów okupacji przewidywał pozostawienie na terenie byłej Kongresówki wszystkich obszarników. Program ten przewidywał, że majątki folwarczne będą własnością obszarników, że będą one ośrodkami kultury i że obszarnicy mają stać się przodownikami rolnictwa w Polsce wyzwolonej na własnych folwarcznych gospodarstwach.

W reformie gospodarstw chłopskich przewidywano komasację, tworzenie większych gospodarstw a wyrzucenie biedoty z ziemi, którą ona posiadała. Gdyby taki program został zrealizowany, mielibyśmy w Polsce całkowitą realizację programu hitlerowskiego, mielibyśmy „stan żywciceli” i kompletne zepchnięcie mas chłopskich mało- i średniorolnych. Jeśli my dzisiaj mówimy o przebudowie ustroju rolnego, o zmianach, jakie są konieczne z punktu widzenia ekonomicznego — nie możemy oczywiście iść po drodze eliminacji mas chłopskich na korzyść bogaczy. My ustrój rolno musimy przebudować nie tylko na drodze ekonomicznej, ale i społecznej, to znaczy musimy umożliwić masom chłopskim podniesienie dobrobytu i kultury. Dlatego nasza droga jest przeciwstawna kulaćkiej drodze, nasza droga jest drogą spółdzielczą.

Czy tu chodzi o nakaz kolektywizacji, wydany przez administrację lub doktrynerskich polityków?

— Tak niektórzy wrogowie starali się te sprawy wyjaśniać.

W latach 1945—1947 niektórzy krótkowzroczni działacze polityczni, robotniczy i ludowi zaangażowali się w propagandę głoszącą, że w Polsce nie będzie żadnych zmian. Dzisiaj musimy się przyznać do tego, że właśnie takie wypowiedzi, które wychodziły z kół PSL, które wychodziły z kół PPR — stworzyły przeszkody w przebudowie rolnictwa. Niektórzy bez wiary w słuszność tych twierdzeń powtarzali je, aby nie wprowadzać zamieszania i rozbieżności.

To stanowisko jest dziś przez nas rewidowane pod przymusem potrzeb życia, bo okazało się w ciągu tych kilku lat, że rolni-

ctwo indywidualne poprawione wprowadziło mocno przez reformę rolno, ale gdzie przewagę zdecydowaną ma bogacz wiejski, któremu nakreśliłmy granicę od 50—100 ha ziemi, że takie rolnictwo nie może być sprawiedliwe i ekonomicznie uzasadnione. Nauka czerpana z życia mówi, że rolnictwo wymaga dalszego, skutecznego przebudowania i przejścia na formę spółdzielni produkcyjnych.

Jeśli ktoś twierdzi, że hasło spółdzielczości produkcyjnej zakłada niepotrzebnie na wsi spokój, to jest kompletnym analfabetą w ekonomii i historii, bądź złośliwym agitatorem, walczącym o przywrócenie upadłego porządku niesprawiedliwoci społecznej.

Zmiana ustroju w rolnictwie to sprawa trudniejsza niż nacjonalizacja przemysłu. Nie chcemy absolutnie zmniejszać wagi wprowadzenia nacjonalizacji w przemyśle, ale musimy stwierdzić, że podczas gdy zwycięstwo w przemyśle przyniosła wygrana bitwa z kapitalizmem o władzę polityczną, o rządy w kraju, a sama nacjonalizacja została przeprowadzona przez zwykłą ustawę sejmową, to do zwycięstwa socjalizmu w rolnictwie trzeba iść przez dodatkowe zwycięstwo, przez zwycięstwo społeczne, to znaczy przez wygranie wojny klasowej na wsi w samej warstwie chłopskiej.

Ta sprawa wymaga dłuższych wysiłków.

Fabrykant i robotnik to dwa zdecydowanie wrogi światy, świadome wzajemnej wrogoci, zmobilizowane w wyraźne fronty. Natomiast walka klasowa na wsi, to labirynt sprzeczności i pozorów, które utrudniają wyraźne rozgraniczenie przeciwników. Jasne jest jednak, że w wyniku tej walki zaplanuje powszechność chłopską nad niebezpieczną, wżartą pasożytniczo w masę chłopską grupą bogaczy i spekulantów. Szczególnie chłopci średniorolni często są zdezorientowani w linii frontu. Spoglądają oni niejednokrotnie z zazdrością na bogaczy, aby dosięgnąć tej pozycji, tym bardziej że wielu z nich zostało zdegradowanych z pozycji bogacza w systemie podziałów rodzinnych.

Biedota natomiast jest trzymana na uwierzy przez apokaliptyczne straszenie z ambon, skuteczne w stanie ciemnoty i analfabetyzmu. Niemniej jednak bezrolni i małorolni chłopci, wiedzeni zdrowym instynktem klasowym, coraz śmielej szarpają łańcuch wycisku i ogłupienia, coraz częściej żądają należnych sobie praw w decydowaniu o obliczu wsi i o ustroju rolno.

Stopniowo i średniorolni zaczynają rozumieć, że ideał wótkowca rozplywa się w blaskach istotnej demokracji, gruntowanej na siłach ludzi pracujących, a nie posiadających. Wiele z nich buszcza polu bogacza, obawiając się dzielić jego odosobnienie społeczne. Dzieje się to zwłaszcza w tych powiatach, gdzie władze administracyjne i organizacje polityczne potrafią zbliżyć się do średniorolnych i zrozumieć ich potrzeby oraz stawiać na nich, jako na pozytywną i twórczą część wsi.

Wiadomo bowiem, że bez udziału świadomego średniorolnego chłopca nie można przebudowywać ustroju rolnego.

Niektórym ludowcom wydaje się, że winniśmy zamknąć drzwi za naszą przeszłością. Jest to stanowisko niesłuszne. Na przeszłość należy uczyć się i opierać, unikając popełnionych niegdyś błędów.

Wracając do stwierdzenia wpływu ruchu robotniczego na rozwój radykalnego Ruchu Ludowego, o czym i owołem w swoim referacie na Kongresie S. Ch., muszę podkreślić także wpływ ruchów chłopskich na rozwój ruchu robotniczego; ruch robotniczy i klasa robotnicza korzystała także z dorobku buntowniczego chłopstwa.

U nas te sprawy są mniej rozpracowane, ale w historii Rewolucji Rosyjskiej został wydobyty i pokazany dorobek rewolucyjny Pułaczewa, bunt Chmielnickiego, Genty i Żeleznika. Tacy poprzednicy rewolucyjnego ruchu robotniczego, jak Hercen, Czernyszewski i wielu innych, prowadzili swą działalność, pisali dzieła i wydawali nielegalne pisma, czerpiąc doświadczenia z buntów chłopskich. U nas mówimy i wiemy coraz więcej o chłopach kościuszkowskich, o Deczyńskim, o 4 Pułku i o Ludzie Polskim „Gromada Grudziądz”, która stworzyła ludowy program uto-

pijnego socjalizmu i spółdzielczości produkcyjnej. Do wspólnej tradycji robotniczej i chłopskiej należy ks. Ściegienny. Prawdziwy rewolucyjny ruch robotniczy jest robotniczo-chłopskim i naodwrot.

Był czas kiedy mówiono — chłop jest wszystkim — myśląc o podtrzymaniu rządów kapitalistycznych przez kulaćków. A z drugiej strony niektórzy sekcjarze i tendencyjni działacze ruchu robotniczego szerzyli niechęć do wsi. Część działaczy organizacji robotniczych nie rozumiała przez szereg lat istoty sojuszu robotniczo-chłopskiego i widziała potrzeby takiego sojuszu. Chcieli oni przeskoczyć do socjalizmu wprost z folwarków, pomijając reformę rolno. Myśleli więc kategoriami fałszywymi, które zostały skrytykowane przez budowniczego nowego ustroju — Lenina. Przez Lenina został skrytykowany luksemburgizm, który nie doceniał istoty problemu chłopskiego. Świadomość rozwoju idei rewolucyjnej i sojuszu robotniczo-chłopskiego potrzebna jest chłopom, aby nie czuli się ubogimi krewnymi i żeby rozumieli, że ich udział jest niezbędny w walce o nowy ustrój.

Klasa robotnicza bije się na głównym froncie, skrzydła chłopskie zaś są również ważne i gwarantują zwycięstwo ludu pracującego. Tak trzeba rozumieć sojusz robotniczo-chłopski.

Mówiąc o spółdzielczości produkcyjnej, zrobiłem tę dygresję, abyśmy na wsi przełamali wreszcie pociągającego często ducha bierności. Chłopi bez klasy robotniczej sami nie nie wskorają, lecz i klasa robotnicza na wsi nie zdoła nie zrobić bez chłopów.

W Związku Radzieckim gospodarność osiąga się pracą uświadamiającą, pracą społeczną, pracą kulturalno-oświatową. Śpiewa się tam pieśni o bohaterze kolechozniku i traktorysty. Bo rzeczywiście są oni bohaterami. Tam człowiek rozumie istotę i wartość gospodarności, podczas gdy u nas nieraz indywidualny gospodarz, a zwłaszcza boć wiejski, nie obawia się tym nasieniem pola, które jest ważne z punktu widzenia gospodarności ogólnopolskiej, bo on jest gospodarzem na „swoim” gospodarstwie i postępuje, jak mu się podoba.

W spółdzielni produkcyjnej także każdy jest gospodarzem, ale na wspólnym gospodarstwie. Nie ma tam skłonności do lekceważenia dobra społecznego i spychania roboty na najmniej siły, ale każdy poczuwa się do odpowiedzialności za ogół, za całość. Trzeba podkreślić, co widzi się w praktyce, iż gospodarność w gospodarce zespołowej jest o wiele wyższa niż w indywidualnej. Podkreślam i kładę wielki nacisk na gospodarność w uspołecznionej gospodarce, ponieważ u ludzi, którzy nie widzieli żywych przykładów, ta sprawa budzi najwięcej zastrzeżeń i wykorzystywana jest przez propagandę antyspółdzielczą.

Do spółdzielczości produkcyjnej idzie się przez ogólną spółdzielczość, a więc przez spółdzielczość rolniczą, mleczarską i poprzez grupy branżowe, do spółdzielczości produkcyjnej idzie się po drodze spółdzielczej.

Jeśli ktoś zabawia się w teorie, że z dzieł wsi, niekniętej pracą spółdzielczą można stworzyć spółdzielnię produkcyjną — jest utopista.

Chcąc zorganizować spółdzielnię, trzeba przedtem zorganizować wieś, ponieważ tylko uspołecznienie chłopów tej wsi mogą stworzyć spółdzielnię produkcyjną.

Praca w spółdzielniach gminnych i w komitetach członkowskich, w grupach produkcyjnych jest dlatego niezmiennie ważna. Trzeba zdecydowanie odeprzeć sklepikarzy i handlarzy, pchających się do spółdzielni gminnej, która ma siedzibę w mieście. Mówią oni często, żeby chłopów nie przyjmować do pracy w gminnej spółdzielni, żeby stanowiska w niej rezerwować dla nien, dla bezrobotnych sklepikarzy.

Eliminując szkodliwe wpływy sklepikarzy i spekulantów, trzeba nam równocześnie coraz bardziej rozwijać ruch łączności chłopów z robotnikami, który na tym etapie przejściowym jest niezmiennie ważny, ponieważ tą drogą będziemy łamać zasadę reprezentacji wsi przez bogaczy. Bez tej łączności same gromady nie są zdolne przeprowadzić skutecznej walki z pasożytami społecznymi.

*) Głos w dyskusji w drugim dniu posiedzenia Rady Nacz. SL. 18. 6. 1949 r.

Jakiego Mickiewicza znamy?

Rok mickiewiczowski obchodzony współcześnie w Polsce nasuwa konieczność oceny powojennego dorobku wiedzy o Mickiewiczu oraz narzuca nowe postulaty wobec tej dziedziny nauki o literaturze. Ukazały się już cztery tomy wyda-

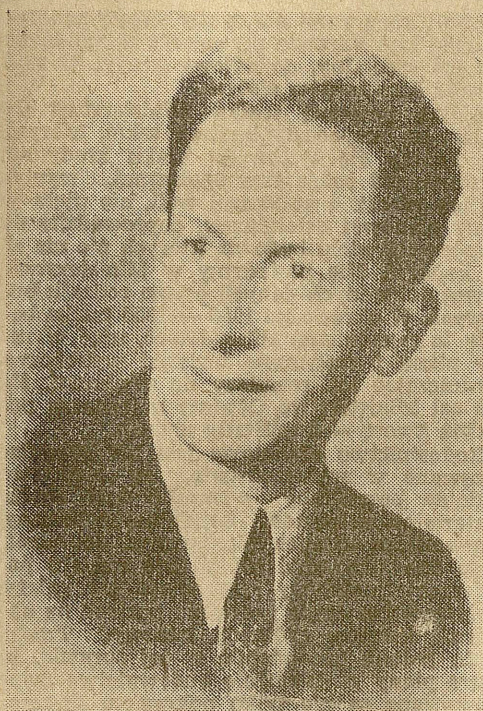
nia narodowego dzieła Mickiewicza oraz nowe publikacje historyczno-literackie. W związku z Wystawą Mickiewiczowską w Warszawie, wielkim widowiskiem teatralnym „Mickiewicz z nami” oraz setkami obchodów we wszystkich wojewódz-

twach kraju wywołują się nowe zagadnienia dotyczące dróg społecznego funkcjonowania spuścizny mickiewiczowskiej. Sprawom tym w najbliższych numerach poświęcimy jeszcze kilka recenzji i omówień.

REDAKCJA

Wanda Leopoldowa

O naukę i prawdę



Henryk Szyper

Wciąż jeszcze jest aktualne pytanie, rzucone przez Stanisława Piłonia po pierwszej wojnie światowej („Przebieg Warszawy”, 1922): „Jakiego Mickiewicza znamy?”

Wówczas pytanie to dotyczyło zniekształceń dokonanych przez wydawców na tekstach poety. Dziś, po blisko 30-tu latach od tego wezwania, otrzymamy wreszcie (oby jaknajszersze!), kompletne i krytyczne wydanie pism Mickiewicza. Wydanie, w którym nie będzie już brudu, „przyjacielska” cenzura obywatelska (por. np. A. Chodźko, bajka „Przyjaciele”), ani niesumienność w odczytaniu autografów poety; wydanie oparte na gruntownym sprawdzeniu wydań dotychczasowych, dające sumienną i wnikliwą lekcję trudnych często do odczytania rękopisów, przynoszące niezafałszowany i niezniekształcony tekst utworów.

Ale pytanie z r. 1922 pozostało ważne przede wszystkim w innej sferze zagadnień. W sferze interpretacji twórczości i życia poety, Mickiewicza, jakiego poznawaliśmy w szkole i na uniwersytetach, w sferze tego, co mówiły nam o nim monografie literackie — a negdoby Władysława Mickiewicza, okliwy psychologizm Kallenbacha, obłądny „Mon-salvat”...

Nie chodzi o stare porachunki. Któżby się jeszcze w tej chwili przejmował Kallenbachem? Już przed wojną, w tej, jak w wielu innych sprawach, Boy-Zeleński napsuł sporo krwi oficjalnej nauce uniwersyteckiej. Ale ostatecznie rewizjonizm ten skrytykował się we Lwowie w latach 1939-41, w o-wym małym Polskim Piemencie kulturalnym, jak go nazwał w swoich wspomnieniach Henryk Szyper („Kuznica” 15/1946). Wtedy ostatecznie rozprawił się z „dawną” mickiewiczologią Boy („Nowe Widnokreślenie”, 1941: „Stare i nowe drogi wiedzy o Mickiewiczu”), wtedy w artykułach i odczytach J. Borejszy, J. Przyborski i in. zaczęto do właściwych proporcji sprowadzać mistycyzm poety i towarzyszący, wtedy przy współpracy uczonych radzieckich i w oparciu o nowe materiały poszerzono wiedzę o okresie pobytu w Rosji Mickiewicza. W tej atmosferze powstała w latach 1940-41 książka Henryka Szypera: „Adam Mickiewicz — poeta i człowiek czynu. Zarys popularny”¹⁾.

Obecny rok mickiewiczowski, poza niewątpliwym osiągnięciem, jakim jest „Wydanie Narodowe”, przyniósł szereg potężnych publikacji o Mickiewiczu. Potężnych — gdy patrzymy na leżący na biurku blisko 600-stronicowy rocznik mickiewiczowski „Pamiętnika Literackiego” i zwalistę tomy monografii Kleimera. Niepokojnie wygląda przy nich niewielka książeczka Szypera. Ale niestety znów aktualne staje się przy nich pytanie: „Jakiego Mickiewicza znamy?”...

W tym zestawieniu jeszcze wyraźniej występuje ogromna doniosłość „Zarysu” Szypera.

Jadwiga Iwanowska

Szkodliwa popularyzacja

Niedawno odbywały się matury. I tak się złożyło, że przybiegł do mnie w panice jeden z tegorocznych delikwentów, z prośbą żeby mu coś poradzić do „powtórzenia” Mickiewicza — „bo to, rozumiecie, jubileusz, na pewno coś o Mickiewiczu z polskiego będzie, a podręczników nie ma, i ja w ogóle jestem mechanik, chciałbym potem na politechnikę...”. Poradziłam książkę Szypera. Następnego dnia przybiegł znów zaafierowany, komunikując mi, że książka Szypera w żadnej księgarni nie mógł dostać, jest wyczerpana, znalazł egzemplarz w jakimś antykwariacie, ale chcieli 450 zł., zato wszędzie proponowano mu 2 zeszyty o Mickiewiczu wydawnictwa „Wiedza Powszechna”. Kupił je, bo kosztowały razem tylko 160 zł., ale chciałby się dowiedzieć, czy to będzie dobre. Spojrzałam na nazwisko autora: Stanisław Kolbuszewski. Zamajaczyły mi nie budzące zaufania tytuły dawnych jego prac: „Ziemski Mesjasz Narodów”, „Mickiewicz i Maryla”. W godzinę przeczytałam cienkie książeczki. I, powiedzmy od razu, o całej sprawie nie warto byłoby wspominać, gdyby właśnie nie owa cena książki (160 zł.), imponujący nakład 40.000 egzemplarzy (słownie: czterdzieści tysięcy) i typ odbiorcy, dla którego są przeznaczone wydawnictwa „Wiedza Powszechna”. Anons na okładce głosił: „Wydawnictwo popularno-naukowe „Wiedza Powszechna” jest potrzebne uczniom różnych szkół, zwłaszcza gimnazjów dla dorosłych, słuchaczom uniwersytetów ludowych i robotniczych, uczestnikom świetlic i kół samokształcenia, samoukiem kształcącym się indywidualnie, poza tym...” nauczycielom wszystkich typów szkół jako niezbędna literatura podręczna, studentom wyższych zakładów naukowych, jako literatura informacyjna, zastępująca częściowo notatki”.

Twierdziłam, że gdyby nie wymienione wyżej powody, nie warty był się zajmować tą sprawą, gdyż dla każdego zorientowanego nieco w historii literatury i badaniach literackich czytelnika książka ta jest tak dalece jaskrawym przykładem przewyższonego już szczęśliwie, nawet w naszej polonistycznej literaturze, metod badania i interpretacji, tak „wzruszająco” naiwnym wyrazem mętnej „duchologii”, prowadzącej nieuchronnie do mętniactwa stylu, oparów mistycyzmu, a tym samym zafałszowania prawdy historycznej, że uśmiechnąć by się tylko należało (z odrobina gorczyco co prawda), iż w cichych zakątkach uniwersyteckich pokutują jeszcze (bo chyba już nie prosperują) profesorowie remanenty, dla których naprawdę „czas stał się i odwrócił lica”. Nie chcę być gołosłowna. Oto formuła końcowa, mająca dać syntezę twórczości Mickiewicza: „Mickiewicz był twórcą i wodzem romantyzmu polskiego, ale z wyjątkiem na wskroś romantycznych „Dziadów”, był stale najdoskonalszym klasycyzmem w tym sensie, że posiadał umiar klasyczny, a w dziele jego istniała cudowna harmonia treści z formą” (II, s. 95). Znamy, znamy. Szczególnie ten refren o „cudownej harmonii treści z formą”. Ale tłumaczenie tego jest proste, skoro jako decydujący czynnik w twórczości poety przyjmujemy natchnienie, wywoływane jego osobistymi przeżyciami. O przeżyciach tych zaś wiemy z utworów, a przede wszystkim z „wniknięcia” w duszę poety. Wiemy wtedy nawet bardzo dokładnie, jak powstawały pomysły poety i czy dopisywał mu natchnienie. Tak np. „Konrad Wallenrod” został początkowo porzucony „z braku natchnienia” (I, s. 68), a co do postaci Aldony, to oto skąd się wzięła: „Spojrzeniem głębokim chciał ogarnąć rolę Maryli w swym własnym życiu, gdyż ostre słowa rzucone w „Dziadach” nie mogły być ostatnimi. Wtedy to postać historycznej Kiejstutówny zespłynała się w jego wyobraźni z postacią tej, którą kochał. W ślad za tym napłynął do poety szereg dawniejszych reminiscencji: chłód Aldony, otoczony przez Konrada wierzby — to była altanka Dziadów... Ze wzrokiem postać Aldony myślał o Maryli, do-wodził nade wszystko pomysł zamknięcia się Aldony w wieży, z której wyjść nie mogła i nie chciała — była żywcem pogrzebiona dla Konrada, jak Maryla dla Mickiewicza jako cudza żona” (I, s. 76). A wiecie, co znaczy ustępy 1 i 3 I-ej części Dziadów? „Otoż ustępy 1 i 3 są szkieletowym obrazem przeżyć samego poety i Maryli przed ich poznanie się. Związku, który by odnaleźć można między tymi ustępami a ustępem 2, nie widać” (I, s. 43).

A skąd się wzięło Widzenie ks. Piotra w III-ej części Dziadów? „Artystycznie ujęte jako objawienie księdza Piotra, w istocie było widzeniem rzeczywistym Mickiewicza...” (II, s. 27) (podkr. moje).

W istocie przy takiej metodzie proces twórczości poetyckiej nie pozostawia dla nas żadnych tajemnic. Wiemy, co w każdej chwili swego życia myślał poeta. W ten sposób można wszystko wyjaśnić. I oczywiście nie nie wyjaśnić. Bo sprawdzalność takich tez jest chyba... w niebie.

Z nieco innej niwy starych błędów, z tzw. wpływo-logii. Np. „Żeglarz” to wiersz „przypominający monolog Hamleta, bo analogicznie rozważa Mickiewicz zagadnienie „być albo nie być...” (I, s. 16).

Charakterystyka tzw. przez autora „formy” utworów jest również interesująca. Oto przykłady. Chodzi o „Grażynę”. „Na tym tle dał trzy sylwetki, scharakteryzowane przy pomocy ich słów, gestów, mimiki i czynów”. Kompozycja „Pana Tadeusza”: „...składa się on z długiego szeregu obrazów większych lub mniejszych, podporządkowanych pewnej naczelną myślą, a tworzących w sumie obraz narodu polskiego...” (II, s. 75). Doprawdy, człowiek zaczyna wzdychać do... formalist-słów.

I wreszcie „małe” szczegółowe błędy logiczno-jezykowe: „Ewolucja dokonała się więc nagle, ale w istocie bohaterem był nowy człowiek w którym tylko podziwiała dawne reminiscencje” (oczywiście komentarz do „natus est Conradus”). „Część II „Dziadów” ma wyraźnie rozdzielone, choć rozmiarami niesymetryczne, dwie grupy scen” (I, s. 51).

Przykłady z każdej dziedziny można by mnożyć. Ale lepiej streszczajmy. Dwa zeszyty „Wiedzy Powszechniej” o Mickiewiczu („Twórczość Mickiewicza w kraju i w Rosji”, „Twórczość Mickiewicza na emigracji”) obejmują łącznie 186 stron. Z tego ok. 110-u przypada na tzw. „wypisy”. Na marginesie warto zaznaczyć, że metoda „wypisów” czy „urywków” z większych utworów, bardzo niebezpieczna w ogóle, w wypadku takich utworów jak „Dziady” czy „Pan Tadeusz”, wydaje się wprost niedozwolona. Te utwory każdy czytelnik polski powinien znać w całości. Jak metoda ta jest niebezpieczna, okazało się dowodnie na przykładzie omawianej książeczki. Dobór wyjątków przez autora wcale nie pomógł mu w zafałszowaniu Mickiewicza. Jeśli z IV-ej części „Dziadów” wydobywa się tylko wspomnienie domu rodzinnego, pożegnania z ukochaną i apostrofy do niej skierowane, łatwiej będzie nie znającemu rzeczy czytelnikowi zgodzić się na komentarz, iż: „Czwarta część „Dziadów” pisał Mickiewicz dla Maryli. Chciał jej uprzytomnić ogrom swej miłości i ogrom swoich cierpień, chciał ją wzruszyć i w pewien sposób pokarać za nieodwzajemnioną miłość. W ten sposób poemat z jednej strony był wspomnieniem i skargą, z drugiej w przyszłość rzutowaną zapowiedzią śmierci poety” (I, s. 58). Gdy w III-ej części „Dziadów” decydującym punktem ciężkości będzie Widzenie ks. Piotra, łatwiej przyjmujemy długie rozważania na temat rozszyfrowania 44 i powiązań z Saint-Martinem (a przypominam, że na komentarz do całej twórczości Mickiewicza przypada tylko 76 stron!). Jasne jest chyba w świetle tych przykładów, że na owych 76-u stronach dominuje Mickiewicz — mistyk i kochanek Maryli. Jasne, że wśród postaci przewijających się przez biografie poety najwięcej miejsca poświęcono Oleszkiewiczowi i Towiańskiemu. O Towiańskim pisze się tymi słowami: „Andrzej Towiański (1799—1878), student uniwersytetu wileńskiego w tych czasach co Mickiewicz, potem urzędnik sądowy, właściciel rodzinnego majątku, niezwykłe uczucie i łagodne postępowanie z chłopami(!!!), poczuł w pewnym momencie, że spoczywa na nim posłannictwo nałożone przez Boga i że realizację tej misji podjąć mu trzeba na terenie międzynarodowym” (II, s. 82) I pisze się to zupełnie serio w „roku pańskim” 1946! Nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że na tych skąpych 76-u stronach znalazło się miejsce, by wspomnieć, iż wśród 11-u dukatów, które Mickiewicz dostał od matki na drogę do Wilna, jeden był z wizerunkiem Matki Boskiej... (I, s. 3).

Zapewne zbyt wiele miejsca poświęcała przykładom z tej książeczki. Ale przypominać raz jeszcze cenę, nakład, brak podręcznika, brak innego, dostępnego na rynku popularnego opracowania całej twórczości Mickiewicza. W tym zestawieniu zabawna skąd inąd książeczka prof. Kolbuszewskiego zaczyna niepokoić. Czy nie warto by uczcić rok mickiewiczowski m. in. przez wycofanie jej ze sprzedaży?

¹⁾ Henryk Szyper — Adam Mickiewicz — poeta i człowiek czynu. Zarys popularny. Warszawa 1947, Sp. Wyd. „Czytelnik”, s. 244.

Władysław Ozga

BUDOWNICTWO SZKÓŁ WIEJSKICH^{*)}

Potrzeby w zakresie budownictwa szkolnego są olbrzymie. Według przewidywanych danych uzyskanych ze szkół przez Wydział Budownictwa Min. Oświaty na podstawie ankiety: „Inwentaryzacja budynków i lokali szkolnych” w dniu 1 listopada 1948 r. wypadło na 1 ucznia szkoły podstawowej tylko 13 m² przestrzeni szkolnej w budynkach własnych i wynajętych, gdy racjonalna forma powinna wynosić 35 m² na ucznia, a minimalna norma przewidywana w okresie planu 6-letniego dla pierwszego etapu budowy określona została na 20—22 m² na ucznia. Na podniesienie tej normy pomieszczeń szkolnych w drodze budowy nowych szkół potrzeba byłoby około 200 miliardów złotych. Oczywiście kwoty takiej w okresie planu 6-letniego nie uzyskamy. Na budownictwo szkół stopnia podstawowego będziemy mogli przeznaczyć około 53 miliardów złotych ze środków skarbowych. Jeśli doliczymy do tej sumy około 13 miliardów środków własnych samorządów, to otrzymamy kwotę 66 miliardów złotych, w granicach której będziemy mogli planować w okresie 6-letnia 1950—1955 budowę szkół. Dodatkowe zmobilizowanie środków społecznych pozwoli na uzyskanie większych wyników w dziedzinie budownictwa szkolnego. Środki te muszą być oczywiście włączone do planu.

Wielkie potrzeby lokalowe szkół wynikają również z danych opracowanych przez Biuro Statystyczne Min. Oświaty pod kierunkiem d-ra Mariana Falskiego. Z danych tych wynika, że brak odpowiedniej ilości izb szkolnych utrudni podniesienie stopnia organizacyjnego, pozwalającego realizować program pełnej siedmioklasowej szkoły.

Oto w dniu 1.10.1948 r. (bieżący rok szkolny) mieliśmy 1555 szkół z liczbą dzieci od 61 do 200 posiadających 1 izbę, 3323 szkół z liczbą dzieci od 91 do 250 posiadających 2 izby, 2494 szkół z liczbą dzieci od 101 do 300 posiadających 3 izby, 756 szkół z liczbą dzieci od 201 do 400 posiadających 4 izby, 397 szkół z liczbą dzieci od 251 do 400 posiadających 5 izb.

Ta ciężka sytuacja szkolnictwa na odcinku pomieszczeń szkolnych jest wynikiem zaniedbań okresu drugiej Rzeczypospolitej w dziedzinie budownictwa szkolnego oraz ogromnych zniszczeń wojennych. Rozwiązanie wielkiego problemu budownictwa szkolnego rządy sanacyjne pozostawiły działalności T-wa Popierania Budowy Publ. Szkół Powszechnych.

W warunkach poważnych trudności lokalowych szkół podstawowych musimy upowszechnienie szkoły siedmioklasowej połączyć z walką o budynki szkolne na wsi, gdzie brak izb szkolnych i mieszkań dla nauczycieli odczuwa się najdotkliwiej. Braki te uniemożliwiają podnoszenie poziomu organizacyjnego szkół w tych wypadkach, gdzie jest to niezbędne ze względu na liczbę dzieci w obwodzie.

Przewidywana stopniowa przebudowa ustroju gospodarczego wsi w inny sposób komplikuje zagadnienie budownictwa szkolnego. W związku z uspołecznieniem wsi może ulec zmianie struktura przestrzenna osiedli wiejskich. Niektóre mniejsze osiedla mogą w ogóle zniknąć. Moment ten winien być wzięty pod uwagę przy planowaniu sieci szkolnej i opracowaniu planu budownictwa szkolnego. W punkcie szkolnym niepewnym

Artykuł Wł. Ozgi jest informacyjny. Dowiemy się z niego, ile szkół podstawowych przybędzie w ciągu Planu Sześcioletniego. To może tej informacji szukać w Roczniku Statystycznym, albo w gazetce? Nie piąć się jej w pismo literackie?

Jesteśmy innego zdania. Nie mówi ona tylko o tym, co było, co jest. Mówi o tym, co będzie. Jest planem, który wyrasta w walce o oświatę i kulturę mas. Któremu masy ludowe mogą się przyrzec jako dzieła, jakie one zrealizują i dla siebie go zrealizują. Taką jest ich moc, tyle w ciągu sześćdziesięciu lat ludowej demokracji osiągną.

Temu planowi przyrzec się winien uważnie świat pracowników oświatowych, działaczy i pisarzy na polu kultury i sztuki. Stoi on wobec zadań pogłębienia walki o stworzenie postępowej nauki, marksistycznej oświaty. Stoi wobec opóźnień w wypracowaniu nowych programów i podręczników, wobec przeszkalanania nauczycieli i działaczy kult.-oświatowych, wobec tworzenia literatury i sztuki dla zwycięsko wstępujących w życie narodu mas ludowych. Te sygnały są znane. Ale inaczej one brzmią, kiedy się na nie reaguje w oderwaniu od materialnej bazy kultury, od materialnych jej narzędzi działania i materialnej siły i wielkości tych narzędzi.

Sześć lat w budownictwie szkół podstawowych to wielka rewolucja w materialnym tworzywie upowszechnienia oświaty i kultury. To skok w technicznych możliwościach szerzenia oświaty, przewyższający dorobek całego ubiegłego stulecia. W stosunku do tego planu, który zrealizuje wysiłek produkcyjny klasy robotniczej i chłopów, jako swoje dzieło, jako materialne narzędzie upragnionej wiedzy i kultury, w stosunku do tego planu rozbudowy szkół muszą zostać ustawione konkretne zobowiązania świata twórców i pracowników kultury i oświaty.

REDAKCJA

da w obwodach posiadających do 80 dzieci. W obwodach z liczbą dzieci od 81 do 100 będziemy mieli z końcem planu 6-letniego szkoły o 3 nauczycielach.

Jak zamierzenia te będzie można zrealizować w oparciu o istniejące warunki lokalowe i perspektywy budownictwa szkolnego w okresie lat 1950—1955?

Zacznijmy od szkół o 2 nauczycielach.

Obwodów szkolnych z liczbą uczniów do 80 — mamy zgodnie z danymi Biura Statyst. Min. Oświaty 9.713. Część tych obwodów z liczbą dzieci poniżej 20^{*)} pozostanie prawdopodobnie nadal jako szkoły o 1 nauczycielu. Część szkół z liczbą uczniów do 80 ulegnie komasacji (4—5%). Po odliczeniu tych dwóch grup szkół otrzymamy około 9.000 obwodów szkolnych o 2 nauczycielach, którym trzeba zapewnić warunki lokalowe. Ponieważ według danych Biura Badań i Statystyki w roku szkolnym 1948/49 2087 szkół z liczbą dzieci nie przekraczającą 80 miały już po 2 lub nawet więcej izb, przeto pozostaje około 7.000 obwodów szkół o 2 nauczycielach, które weźmiemy w rachubę przy planowaniu budowy szkół.

Plan sieci szkolnej a w szczególności plan budowy szkół musi być budowany oddolnie przy uwzględnieniu różnorodnych i specyficznych warunków terenowych. Zrozumiałym jest, że Ministerstwo Oświaty nie może dysponować szczegółowym materiałem, odnoszącym się do warunków lokalnych dwudziestu kilku tysięcy szkół i uwzględniającym również możliwości wynajęcia pomieszczeń na izby lekcyjne i mieszkania nauczycieli. Dlatego w pierwszej fazie ogólnego budowy planu posługujemy się przewidywaniami

dynków tego typu przy założeniu, że będzie to pierwszy etap budowy.

Koszt takiego budynku wyniesie około 4 — 5 mil. zł. Zakładam, że 1/3 kosztów budowy, częściowo w naturze (część robocizny, wózka materiałowa itp.) częściowo w gotówce pokryje gromada lub gmina. Państwo (Min. Oświaty) dałoby więc na każdą nowo-budującą się szkołę o 2 nauczycielach 3 mil. zł. W skali ogólnokrajowej potrzeba będzie na ten cel 12 miliardów zł, z kredytów państwowych.

Szkół o 3 nauczycielach (obwody z liczbą dzieci 81—100) będziemy mieli 2037^{*)}. Około 100 szkół tego typu powinno ulec komasacji, 225 szkół posiada już 3 izby. Pozostaje zatem około 1800 szkół o 3 nauczycielach, które w chwili obecnej nie mają 3 izb. Można założyć, że 800 obwodów upora się z trudnościami lokalnymi we własnym zakresie, w drodze wynajmu, remontów adaptacyjnych, dobudowy jednej lub dwu izb do istniejących. Założenie to opieram i na tym, że 1491 obwodów o 3 nauczycielach posiada już 2 izby^{**)}. Potrzeba w rezultacie wybudować 1000 szkół o 3 nauczycielach.

Kubatura budynku takiej szkoły wyniesie przeciętnie 1.200 m³. Koszt 6 milionów złotych. Państwo da z kredytów skarbowych 4 miliony złotych, środki własne gromad lub gminy wyniosą około 2 milionów złotych. W skali ogólnokrajowej wydamy z kredytów skarbowych w okresie planu sześcioletniego na budowę szkół o 3 nauczycielach około 4 miliardów złotych.

Szkół o 4 nauczycielach (obwody 101—150 dzieci) będziemy mieli 3358^{***)}. W bieżącym roku szkolnym posiadamy już w 213^{***)} tego typu szkołach (obwodach) po 4 lub nawet więcej izb szkolnych, w 1444^{***)} obwodach po 3 izby oraz w 1548 obwodach po 2 izby, a tylko w 153 obwodach po 1 izb. Można przyjąć, że w szkołach o 4 nauczycielach posiadających 3 izby problem lokalowy nie następuje specjalnych trudności. W najgorszym razie, w wypadku niemożliwości donajęcia izby, trzeba będzie pójść na naukę popołudniową (w bardziej zwartych osiedlach). Szkoły posiadające 2 izby częściowo winny pójść po drodze wynajmu, częściowo po drodze nowej budowy. W olbrzymiej większości obwodów szkół o 4 nauczycielach, posiadających tylko jedną izbę i prawdopodobnie z powodu trudności wynajęcia dodatkowych izb tylko 1 nauczyciela, trzeba będzie wybudować nowe szkoły. Szacunkowo przyjmując, że w obwodach szkół o liczbie dzieci 101 do 150 musimy wybudować 700 szkół. Koszt budowy takiej szkoły wyniesie około 7 milionów złotych. Można przyjąć, że ogólny koszt budowy szkół o 4 nauczycielach w skali całego kraju wyniesie 5 miliardów, z czego samorząd oraz ludność pokryje w naturze i gotówce 2 miliardy. Z planu inwestycyjnego Ministerstwa Oświaty damy na ten cel 3 miliardy. Zagadnienie szacunku środków własnych omówię z pewnością koledzy na sekcji budownictwa szkolnego.

Szkoły o 5, 6 i więcej nauczycielach w okresie planu 6-letniego nie będą mogły być w szerszym rozmiarach budowane. Przy zwiększeniu liczby nauczycieli w tych szkołach trzeba będzie posługiwać się izbami wynajętymi, stosowaniem nauki na 2 zmiany (w niektórych izbach). Niemniej jednak nie możemy rezygnować z budowy szkół najwyższego stopnia organizacyjnego. Z kredytów skarbowych przeznaczamy na budowę tych szkół 11 miliardów złotych. Ze środków własnych samorządów powinno pójść na ten cel około 1,5 miliarda złotych. Kwoty te pozwolą nam na wybudowanie według norm kubatury pierwszego etapu około 330 nowych szkół o liczbie 300 dzieci każda.

^{*)} Dane Biura Badań i Statyst. Min. Ośw.

^{**)} ibidem.

^{***)} Dane Biura Badań i Statyst. Min. Ośw.

Szkoły wysokozorganizowane budowane będą również w nowych osiedlach w związku z uprzemysłowieniem kraju.

W osiedlach tych przewidujemy budowę około 250 szkół o 7 i więcej nauczycielach. Przy budowie szkół w nowych osiedlach przy-fabrycznych będziemy zezwalali w pewnych wypadkach na podniesienie przeciętnej normy kubatury na jednego ucznia ponad 22m³. Na budowę tych szkół przeznaczamy w okresie planu 6-letniego kredyt w wysokości 11 miliardów złotych.

Potrzeby budownictwa szkolnego w spółdzielniach produkcyjnych na wsi muszą być również wzięte pod uwagę przy opracowaniu planu 6-letniego ze względu na społeczno-polityczną i ekonomiczną wagę zagadnienia. Oczywiście potrzeby tych spółdzielni odnośnie budowy szkół będą uwzględniane przy opracowaniu sieci szkół o 2, 3 czy więcej nauczycielach. Ministerstwo przeznacza mimo to na ten cel specjalny, dodatkowy kredyt w wysokości 3 miliardów złotych.

Dalszą poważną troską Ministerstwa Oświaty są rozpoczęte budowy szkół, których nie kończy się z powodu braku kredytów. Żywiołowość inicjatywy społecznej, wypływająca nieraz z najlepszej woli, nie ujęta w ramy planowej działalności, doprowadziła do rozpoczęcia wielu budowli, których nie ma za co kończyć. Nie posiadamy w Ministerstwie nawet dokładnych danych o tego rodzaju budowlach. W okresie lat 1950 — 1955 trzeba będzie to zagadnienie zlikwidować, ująć w ramy planu i rozpoczęte budynki wykończyć, ograniczając ich rozmiary do minimum. Na ten cel Ministerstwo Oświaty przeznaczy poważną kwotę — 3 miliardy złotych.

Budownictwo oświatowe jest tak spopularyzowane w społeczeństwie, że inicjatywa oddolna potrafiłaby wyzwoleć duże środki materialne w postaci bezpłatnej robocizny, szarwarków, składek pieniężnych, dobrowolnego opodatkowania się. Z tego rodzaju pozytywnej inicjatywy rezygnować nie należy, zwłaszcza bezpłatna robocizna pozwoli na obniżenie kosztów ogólnych budowy. Trzeba sobie jednak uświadomić w tej sprawie, że nasze plany w dziedzinie budownictwa uwarunkowane są nie tylko pokryciem finansowym, ale również limitami materiałowymi. W okresie planu 6-letniego mogą wystąpić deficyty niektórych materiałów budowlanych, jak stal, drewno, blacha, papa.

Produkcja materiałów budowlanych będzie więc limitować rozmiary budownictwa w planie sześcioletnim.

W tych warunkach wskazanym jest wyzyskanie na budownictwo szkolne również miejscowych rezerw surowcowych.

Pozostają do omówienia jeszcze potrzeby budowlane szkół skomasowanych oraz szkół zbiorczych. Komasacja szkół ma służyć podniesieniu stopnia organizacyjnego, a więc należy zrobić maksymalny wysiłek, aby uzyskać tu poważniejsze rezultaty. Zgodnie jednak z przewidywaniami, akcja komasacji nie zakończy szerszych kręgów.

Na nowe budynki szkół skomasowanych Ministerstwo Oświaty przeznaczy około 2 miliardów zł.

Zagadnienie zbiorczości dotyczyć będzie przy końcu planu 6-letniego głównie szkół o 2 nauczycielach, które realizować będą program 6 klas szkoły siedmioklasowej. W obwodach szkolnych do 80 dzieci jest w bieżącym roku szkolnym około 466.000 dzieci^{*)}, na 1 rocznik obowiązku szkolnego, kończący klasę szóstą wypadnie w r. 1955 więcej niż 70.000 dzieci, które powinny kończyć klasę siódmą w tzw. szkole zbiorczej. Szkoła zbiorcza może być dla tych dzieci każda szkoła o 3 i więcej nauczycielach. Ponieważ sieć szkół realizujących program szkoły siedmioklasowej znacznie się zageści, przeto poważna część dzieci w promieniu 4 kilometrów znajdzie szkołę z klasą siódmą. Szkół o 3 i więcej nauczycielach będziemy mieli na wsi około 10.000, przeto teoretycznie biorąc, na 1 szkołę wypadnie do 7 uczniów ze szkoły o 2 nauczycielach. Praktycznie w terenie liczba uczniów dochodzących do 7 klasy szkoły zbiorczej nie będzie przekraczała 7 — 12 uczniów. Dzieci te pochlone zostaną bez większych trudności przez szkoły o 3 i więcej nauczycielach. Na odcinku budowy szkół zagadnienie to nie wystąpi silnie i należy rozstrząsać je zasadniczo w ramach normalnej budowy szkół o 3, 4 i więcej nauczycielach.

^{*)} Szacunek na podstawie materiałów Biura Badań i Statyst. Min. Ośw.

W NUMERZE 26(205) TYGODNIKA „WIEŚ” z dnia 26 czerwca 1949 r.

Władysław Kowalski — Doły i góry; N. Brodski — Puszcza i twórczość ludowa; Konstanty Grzybowski — Mistyfikacje liberalizmu; Antoni Korzycki — Przed zjednoczeniem ruchu ludowego; Eugeniusz Frankowski — Etnografia radziecka; Jerzy Miller — Plony, Ulica Kałna w Łodzi; Historia uczy (w ósmą rocznicę agresji hitlerowskiej na ZSRR); Irena Drozdowicz-Jurgielewiczowa — O literaturze pierwszego poziomu; Tadeusz Orlewicz — Kapitalistyczna znowa; Józef Ozga-Michalski — Ideologia młodzieży wiejskiej; Ludwik Łakomy — Muzeum Ludowe na Łysej Górze; Marianna Kosińska — List; Mateusz Siuchniński — Powieść historyczna?; Kazimierz Andrzejewski — Owoc nie tego czasu; Antoni Krupa — O powiązanie nauki z pracą; Fakty i zdania. 17 ilustracji, 12 stron.



z powodu przewidywanej przebudowy osiedli należy stosować budownictwo szkolne zastępcze, najtańsze i przy najniższym standardzie budowlanym.

Upowszechnienie szkoły siedmioklasowej wiąże się więc nierozdzielnie z racjonalnie opracowanym planem budownictwa szkolnego.

Dyr. Grabowski i dyr. Falski przedstawili w swych referatach koncepcję organizacji szkolnictwa, zmierzającą do objęcia już w okresie planu sześcioletniego wszystkich dzieci w Polsce siecią szkół realizujących program siedmioklasowej szkoły.

Szkoły o 2 nauczycielach organizowane są

mi i założeniami teoretycznymi, kierując się w pierwszym rzędzie możliwościami finansowymi, które znamy.

Uwzględniając powyższe zastrzeżenia zakładam, że w 3000 obwodów szkół o 2 nauczycielach, posiadających już zresztą 1 izbę będzie można rozwiązać sprawę w drodze donajęcia drugiej izby, remontu adaptacyjnego, bądź prowizorycznej dobudowy izby do już istniejącej itp. Pozostaje więc 4.000 obwodów, w których musimy wybudować nowe szkoły.

W dążeniu do zaspokojenia potrzeb lokalowych możliwie największej liczby szkół opracowaliśmy w Ministerstwie najskromniejsze standardy dla szkół o 2 nauczycielach. W oparciu o te standardy Wydział Budownictwa sporządził szkieletowe projekty bu-

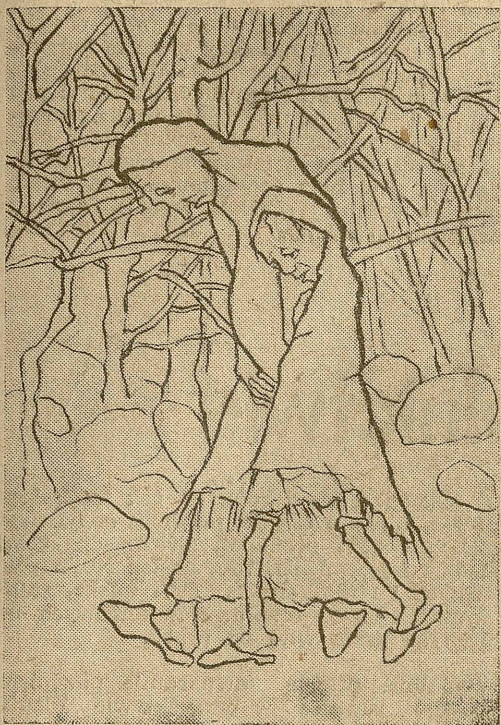
^{*)} Według danych Biura Badań i Statyst. Min. Ośw. w dn. 1. 10. 1948 mieliśmy takich obwodów 238 z liczbą 4151 dzieci

^{*)} Fragment referatu wygłoszonego na Ogólnopolskim Zjeździe Inspektorów Szkolnych (w dn. 25—29.V.49). Referat stanowi część zbiorowej pracy, poświęconej Zjazdowi, a przygotowanej do druku.

Józefa Witowska

Ilustr. Hanna Orzechowska

PAMIĘTNIK SŁUŻĄCEJ



PIERWSZE DOŚWIADCZENIA

Snutne w życiu doświadczenia pchnęły mnie do napisania i dzielenia się z innymi losem robotnika małopolskiego i losem ich dzieci. Moje rodzinne strony były zamieszkałe przeważnie przez Niemców. W miasteczku mieszkali bogaci kapitaliści, zajmowali się tkactwem. U tych to bogatych Niemców tkacz-chałupnicy głodowali. Majstrowie płacili skapo. Anemiczni tkacze, również ich dzieci z nóżkami pokrzywionymi od chorób, mieli ciężkie warunki. Izby ciasne, okna zastawione krosnami, zaduch farb i „ślichty” przepełniał mieszkanie.

Dzieci od lat najmłodszych siedziały lub stały przy kółkach czy kołowrotkach — starsze nad „trajbowaniem”, młodsze nad szpulowaniem. Pożywienie tkackich rodzin składało się przeważnie z czarnej gorzkiej kawy i kartofli zamiast chleba. Mleko kupowały tylko odciagane i to nie codziennie, bo tkacze nie było stać. Za to majstrowie mieli brzuchy do nosa, a rodziny wysyłali do zagranicznych wód. A dzieci chałupnika zabierała gruźlica.

Nie lepiej się działo we wsi, skąd mój ojciec był rodem, jako syn wdowy na półtoręj morderze ziemi z pięciorgiem dzieci. Starsze chodziły na pańskie lub do Niemców, którzy wyzyskiwali pracę robotnika. Robić musieli od wschodu słońca aż do zachodu. W lecie żywili się prawie lebiada i pokrywami. Dzieci miały brzuski zielone jak kaczeta. Ale tej lebiody darmo Niemcy nie dali — trzeba było pół dnia odrobić, nie dość że im oczyszczono pole z chwastu.

Ojcu mojemu sprzykrzyło się służyć na wsi, toteż się przeniósł do miasta, oddalonego czternaście kilometrów. I tu nie lepiej miał, pracując także u bogatych Niemców. Ja również pracowałam, odkąd pamiętam. Dzieciństwa nie zaznałam uśmiechniętego. Moja zabawa to było „kółko” do „trajbowania”. Jako małe dziecko już musiałam zaraabiać. Nie było wyrozumienia nawet u rodziców, skoro mnie, dziecko może pięcioletnie, dali na służbę na wieś w ojca strony i do tego samego Niemca, u którego ojciec miał pierwszą służbę. Czternaście kilometrów dreptałam wówczas po śniegu z babcią. Wieczorem zaszyliśmy. Płakałam, gdy babcia szła do domu. Na mnie nawet nie spojrzęła. Leciłam wtedy godzinę, ile ich jestem oddalona od domu. Po paru dniach tęsknota przemogła, postanowiłam uciec.

Tak też zrobiłam. Droga prowadziła do babci przez las. Śnieg zawiął wszystko, toteż nie dziwnego, że w lasu zginełam. Na szczęście ujrzałam światło, wówczas weszłam zbiegnięta do chatki. Wielkie zdziwienie okazała kobieta, widząc obcą dziewczynkę w progu. Gdy się ogryzałam, zaprowadziła mnie do babki. Babka była niechętna mej ucieczce, toteż z gniewem odprowadziła mnie do domu. Mama na mój widok także powiedziała:

— No, z niej to służbista, jak z koziego roga trąbka.

Później ojciec robił w browarze. Właściciel browaru był jednocześnie dziedzicem. Ten bił robotnika za lada przewinienie. Chodził stale z psem i kijem, a czwartej budził służbę do roboty. Bali się go wszyscy. Każdy robotnik musiał go całować w rękę na dzień dobry — nie tylko mężczyźni, ale i kobiety, niosące mężom jedzenie. Gdy która udała, że tej wyciągniętej łapy nie widzi, wtedy doszedł, walnął kijem przez plecy i ryknął: — Co, mordę ci zapieczetowano, czyś oślepiła?

Unikały go kobiety, ale on stał umyślnie w przejściu, by go żadna nie minęła. Całowała go moja matka, całowałam go też jako dziecko. Zrobił łaskę, że mnie raz łapą, którą bił robotników, pogłaskał po głowie. Dziedziczka też biła służbę, w złości szarpała za włosy i tłukła o drzwi lub ścianę. Pewnego razu mój ojciec przyprowadził taką zbitą i skrwawioną pokójówkę, która u nas nocowała. Pamiętam, że mówili: — Tam psa szkoda dobrego.

Dziedzic poblił także mojego ojca i wymagał, by go przeprosił. Wyciągając rękę w stronę ojca krzychał: — Przeprosi i do roboty. Ale ojciec był na tyle ambitny, że nie przeprosił, wolał zostać bez roboty. Było nam wtedy ciężko. Matka ojcu wymyślała i namawiała go, by szedł dziedzica przeprosić, sam dziedzic przysyłał. Ojciec jednak nie poszedł, choć mu nie wypłacono należności. Był wtedy ojciec bez pracy, w domu bieda, dzieci małe. Najmłodsze mama poila tylko wodą ze sacharyną. Nic dziwnego, że dziecko zamiast rósł to schło i do trzech lat nie chodziło. Sam ojciec był też warty, ciężko robić nie mógł, więc oberwał się przy budowie kościoła i po długiej chorobie umarł na gruźlicę. Matka została wdową z trojgiem dzieci, a czwarte było w drodze. Wkrótce po śmierci ojca i matka zachorowała. Coś dzwignęła i nastąpił poród przedwczesny, dostała więc krwotoku. My, dzieci małe, nie wiedzieliśmy co robić. Dopiero, kiedy matka straciła przytomność, wzwaliśmy sąsiadki Żydówki. Te dopiero sprowadziły lekarza, który odebrał poród i doprowadził wszystko do porządku.

Długo potem mama leżała. Wtedy ciężko było żyć. Umarł dozorca. Wówczas ja wzięłam z radością dozorstwo. Zamiatanie szło mi nieźle, gorzej było odmiatać śnieg na ulicy. Odmiatałam, często mając przymarznątą świeczkę u nosa, ale najgorzej było odrąbywać rynniki. Siekiera ciężka, ręce mi popękały. Miałam siedem lat. Przyszli mi w pomoc sąsiedzi, litując się nad dzieckiem, odrabiali mi głęboko, by na dłużej starczyło.

Był to jednak mały zarobek. Nosilałam więc lokatorom wodę po pół wiadra. Musiałam parę razy obracać, nim nanosiłam całą stągiew. Zimą paliłam sąsiadom w piecach. Dostałam za to dla chorej mamy płacka, cukru, soku, kompotu, ciastek. Pod koniec zimy mama mogła już robić. W lecie chodziliśmy do lasu po drzewo, na grzyby, jagody.

ROZRUCHY

Pamiętam, kiedy jeszcze ojciec żył, przyjechała ojca siostra z Łodzi i przywiozła coś bardzo ciężkiego. Ojciec to wyniósł na strych. Później przychodzili różni ojca znajomi i potrochu wynosili. Byli to różne gazetki, broszury, piosenki. Tego nie było wolno rozpowszechniać, za to była kara. Wieczorem często przychodzili do nas znajomi, czytali, śpiewali te piosenki. Śpiewałam z nimi:

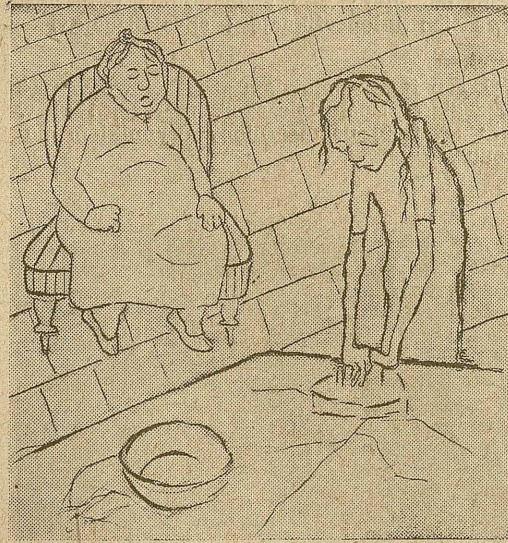
Na barykady ludu roboczy!

— Musiałoby być źle dla robotników. Kiedyś ojciec powiedział swej siostrze:

— Masz odwagę, Teofilko, tak śmiało tyle gazet przewozić?

— Czy mam odwagę? Ty bracie nie wiesz, ile ludzi cierpi w Łodzi głód i poniewierkę.

Ojciec wiedział, bo i u nas było to samo. Kawę piliśmy zawsze czarną i gorzką, a herbatę z sacharyną. Umarła siostra trzyletnia, ojciec nie robił, nie było jej za co pochować. Ksiądz i organista kazali sobie zapłacić. Nie tylko u nas tak było — prawie w całym miasteczku, składającym się przeważnie z wóbrów. Ja jeszcze nie rozumiałam tego wszystkiego, choć po swojemu służyłam sprawie. Często mnie ubrali w piosenki lub jakieś odezwy i tak z tym chodziłam i spałam za koszulą. Była czasem rewizja, ale ja nie doceniałam, co noszę, więc chodziłam bez troski nawet między żandarmami.



Raz późno wieczorem słychać syrenę. Ojciec już spał, byliśmy przekonani, że to pożar. Bardzo wtedy baliśmy się ognia. Ojciec wyszedł na ulicę, wrócił i powiedział:

— Gdzieś daleko musi się palić, nie widać łuny — i poszedł spać. Dopiero rano dowiedzieliśmy się, co było. Młodzież szkolna zaczęła śpiewać zakazane piosenki, zgromadził się tłum, ruszyło wojsko i zaczęło strzelać do tłumu. Dużo ludzi było zabitych i rannych. Syn naszego gospodarza umarł z upływu krwi — młody uczeń. Było to w okresie Bożego Narodzenia. Pogrzeb się odbył skromnie. Prócz rodziny nikt więcej iść nie mógł, zaraz żandarmi strzelali.

Pewnego razu jakiś „szpicel” wydał moją ciocię, gdy przywiozła gazetę. Na szczęście nie znalazł, a ciocia jakoś uciekła i pieszo poszła do Łodzi. Niedługo potem mój ojciec umarł. Rewizje nawet po ojca śmier-

ci nie ustały, nawet w sąsiednim domu. Mieszkał tam Żyd, pan Fuks; ten dowiedział się od swojej służącej, że ja mam przy sobie różne pisma. Zawołał mnie do siebie i on również mi dawał jakieś pisane bloczki i druki, a nawet pieniądze na przechowanie. Chodziłam wtedy na spacer z jego córeczką, obładowana pismami jak kasa... Ci państwo wkrótce wyprowadzili się do Kalisza. U nas także pomału ruch ustał. A szkoda — żałowałam, — lubiłam takie gorące czasy, pełne nadziei, ognia, pieśni. Do dziś mnie wzrusza piosenka — mego dzieciństwa — pieśń buntu:

Na barykady ludu roboczy

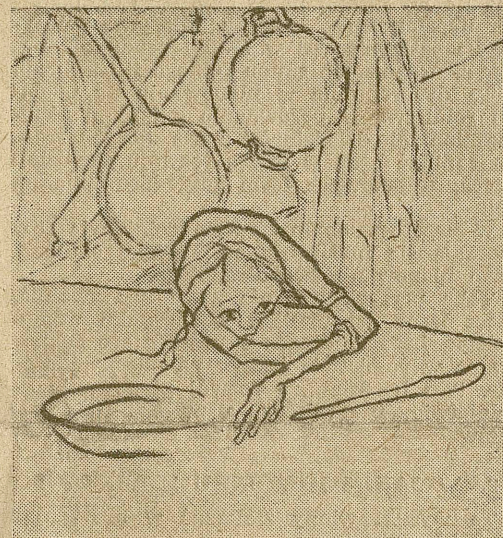
Albo:

Krew naszą długo leją katy
i płyną ludu gorzkie ły...

Płynęły wtedy często i moje, jak o tym w następnych wspomnieniach.

W BROWARZE

Pewnego razu przyszła stręczarka, że jest potrzebna niania do browaru. Wiedzieliśmy, czym we dworze pachniało. Ale stręczarka zapewniała, że tylko stara matka biła. Córka jest inna. Poszłam tedy z mamą na zgodę do dworu. Ciekawiło mnie tylko zobaczyć te wielkie pokoje. Sam widok dziedziczki sprawiał wielki podziw... Zgodzono mnie i zaraz zostawiono. Najmłodsze dziecko jeszcze nie chodziło — tłuste, ciężkie. Trzeba było dobrać uważać. Tutaj lepiej by się nadawała starsza kobieta za nianię. Przecież ja nie umiałam jeszcze dziecku uprać, co nianie jest obowiązkowe. Dziecko rozkapryszone,



cierpiałam tam wiele i tych popychań i uderzeń o lada przewinienie doznawałam mnóstwo. Życia też nie było. Rano dano mi kufel piwa i bułkę. Musiało to starczyć do obiadu. Obiad w kuchni był już przygotowany — miała porcyjka — więcej bym zjadła.

Po południu, kiedy dziecko spało, prałam pieluszki i dziecienną bieliznę, albo prasowałam. W tej czynności nie mogłam pani dogodzić. Wymyślała mi ciągłe. Do domu szłam spać o dziesiątej. Przed odejściem dano mi kolację — tak samo, jak rano: kufel piwa i kawałek chleba. Na szczęście w domu zjadłam kolację.

Pewnego razu dziecko zachorowało. Odbiło się to na moich plecach, że źle pilnuję i dziecko chore. Wtedy to skoczyła do mnie, tak mnie zbliła, wyszczypała, że posiniaczona i pokrwawiona poszłam do domu i więcej nie wróciłam. Córka w niczym nie różniła się od matki, tak samo biła służące. Tylko kiedy dziewczyny odeszły i nie dopomniwały się o zasługę, robiła się uczciwą i dobroczynną — odsyłała pieniądze na kościół — połowę na ewangelicki, połowę na katolicki. Składała ofiarę z ciężko zapracowanych groszy robotnic.

U WDOWY PO MAJORZE

Po wyjeździe z Warszawy dostawałam się do pewnej wdowy, która mnie bardzo dawno pragnęła do siebie przyjąć. Pani Orowska była z bardzo pobożnej rodziny. Miała trzech księży w rodzie: stryjka, wujka i brata. Wychowana była u stryja. Na ogół wyglądała jak cnota chodząca i wszystkim dobrze życząca.

— No, nareszcie dostałam Marysię, o którą tyle lat Boga prosiłam. Teraz wezmę uczni na stancję. Będziemy żyć jak rodzina.

Pani Orowska bardzo ubolewała, że Bóg ją tak doświadczył, zabierając jej męża, co prawda, hulakę i karciarza. Bez niego właściwie było jej znośniej, mimo czworga dzieci. Dostawała emeryturę, ksiądz przysyłał co miesiąc, potem syna starszego zabrał do Warszawy, płacił mu mieszkanie i szkołę, następnie politechnikę. Pani Orowska tylko się modliła i zgadzała z wola bożą.

Ta święta pani uczni po prostu głodziła. Wzięła ich sześciu, przeważnie ziemiańskich synów. Za to bardzo przestrzegała, by po każdym posiłku się żegnali i regularnie mówili pacierz. Mnie podług umowy obiecała pokój, lecz jeszcze był zajęty na spiżarnię, więc spałam w kuchni. Najwięcej ją bolało, jak ktoś do mnie przyszedł i ja poczęstowałam gości. Przecież to nie było z jej spiżarni, kupiłam Ale mi dawała do zrozumienia, że jestem zbyt hojna. Często z kredensu zginęła bułka, widocznie chłopcy, a może i córki ścigały. Kiedy ja gotowałam obiad,

zwłaszcza gdy miałam mięso — pani Orowska weszła uśmiechnięta do kuchni:

— Marysiu kochana, będe tu sobie szyła. Bardzo mi miło gawędzić z Marysią, Marysia taka mądra i wyrozumiała.

Ale z buki spogląda, jak ja robię.

— Ile też Marysi wyszło kotlecików? Starczy aby na kolację? Malutkie proszę robić, będą podzielniejsze.

Kiedy indziej znowu, kiedy w czasie obiadu kroilałam mięso rosółowe lub klops, wpadła, pod jakim pozorem, na przykład po sól, do kuchni i znowu:

— Marysiu kochana, małe, małe kawałeczki — i patrzyła, jak kroję. Bała się, bym nie zjadła kawałka. Po obiedzie wpadała rozpromieniona do kuchni:

— Marysiu kochana, brakło mięsa dla Marysi, tak chłopcom smakowało.

Albo:

— Żeby tak Marysia nie zjadła swego kotlecika, starczyłoby dla chłopców na kolację. — Kiedy indziej: O, Marysiu, brakło mięsa. Co będzie?

— Co ma być, nie będę jeść.

— O jaka Marysia kochana i wyrozumiała! — obejmowała mnie i całowała w głowę. Sama bym nie zjadła, ale siedzę przy stole, więc muszę dawać przykład...

Na kolację brakło też pieczywa dla mnie. A przecież chłopcy też by zjedli więcej, stanowczo mieli za mało jedzenia. Córki chodziły wiecznie głodne. Starsza Haneczka z matką się kłóciła, że skreśliła kieszki dostanie. Była nicpon, urządziła randki ku zgorszeniu mamusi, która znalazła wytłumaczenie, że dzisiaj tak świat chowa dzieci.

Uczniowie pomału zaczęli się usuwać i tak po jednym ubywało, aż zostało dwóch. Wtedy pani majorowa oczy wznosiła w niebo i wdychała:

— Bóg da, Bóg wzięł...

Nie podobało mi się to miejsce, ale nie lubiłam się kłócić. Aż tu w połowie października pani Orowska przychodzi do kuchni jak zwykle z robotką, słodko uśmiechnięta i zaczyna słowami niemal ewangelicznymi:

— Jak to różnymi drogami Pan Bóg człowieka prowadzi. Daje mu jedno, odbiera drugie. Tak samo i mnie. Marysię od tylu lat pragnęłam. Skoro dostałam — uczniowie mi uciekają. Wciąż zmuszona jestem Marysię od pierwszego listopada odprawić, a wziąć sobie małą dziewczynkę. Dam Marysi bardzo dobre świadectwo.

Dziękuję za dwumiesięczne świadectwo... O to miejsce nie dbałam, ale w listopadzie najtrudniej było o służbę. Trzeba było iść do domu ojczymowi na oczy. Pani Orowska nie chciała mnie nawet zameldować do Ubezpieczalni. Przede mną jeszcze odeszli ostatni uczniowie.

— Zagłodziliby nas ta baba — rzekli mi przy pożegnaniu.

Ostatniego października pani majorowa kazała kupić pieczywa tylko dla siebie i córki, ale bardzo mało. Wieczorem wypicała mi pensję, wzięła świadectwo, ucałowała mnie po judaszowsku. Rano dzień Wszystkich Świętych. Wstałam, wzięłam się do sprzątania. Majorowa zrywa się z łóżka:

— Marysiu, proszę położyć szczotki. Od dziś Marysia wolna.

— Ja wiem, że jestem wolna, ale pani posprząta, nim pójdę do kościoła.

— O nie! Śniadania przecież dla Marysi nie mam, proszę już przestać robić.

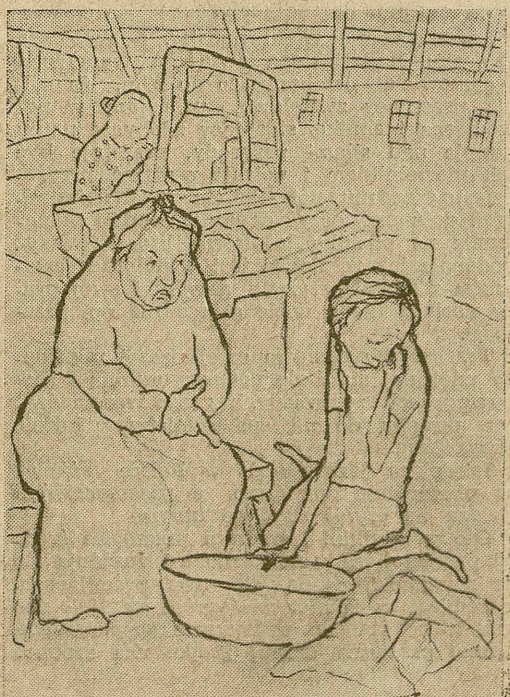
— Mnie się o jedzenie nie rozchodzi, a jak mi się będzie chciało jeść, to sobie kupię.

— No, chyba że tak, bo ja już dla Marysi nie przewidziałam.

Czy to sknerstwo zgadzało się z jej pobożnością? Zostałam tedy bez domu, bo jak tu iść do ojczyma. Dzień spędzałam na poszukiwaniu pracy, spałam jednak chodząc. Iam do pani majorowej parę nocy. Stanowczo mi zabroniła. Ona nie może patrzeć, że ja może chodzę głodna.

DWA CZYSZCZE

W domu byłam parę tygodni, ale mamie było trudniej, szczególnie zimą. Bielizna schła długo, odpusty, na które jeździłyśmy z cukierkami, zamaryły. Toteż postanowiono



mnie dać na służbę. Trafiła się do urzędnika powiatowego. — Może będzie dobrze, pani bardzo pobożna, pan także.

Poszłam i coś się okazało po paru dniach? Pani przy swej pobożności mnie głodziła, tyle dała, aby żyć. Nie dość, że była skąpa, ale do kawy, zup dolewała mi wody. Chleba dostawałam tylko ogryzki po dzieciach. Zbierała kawałki, polała wodą, osłodziła trochę, podała jak psu. Byłam bardzo wygłodzona, jadłam to z apetytem. Ale gdy pani prosiła większe figury miasteczkowe — księdza lub nauczyciela, wtedy wszystko było na podwierzorku. Pani była na tyle bezczelna, że nawet nie dała mi nic spróbować. Wtedy to bawiłam w drugim pokoju dzieci, by goście mieli spokój. Kiedy zmywałam po nich naczynia, byłam tak głodna, że rada byłam liżać talerzyki, od kremów lub galaretek.

Pani ta, gdy zobaczyła u mnie w ręce książeczkę z bajkami, wyrwała mi ją z gniewem, że to nie dla mnie zajęcie. Albo gdy grała na fortepianie i stałam przy klawiaturze, odepchnęła mnie od niej. Nie pozwoliła mi także rozmawiać z koleżanką, która służyła w żydowskiej rodzinie. Służąca nie u Polaków to było dla niej coś nieczłowieczego, choć przekonałam się, że u Żydów na przykład było znośniej.

Moja pani budziła mnie wcześniej rano sprzątać. Wtedy to usiadła sobie na fotelu, patrząc pilnie, jak robię. Jak mogłam robić dziewczynka dziewięcioletnia? Gdy jej się nie podobało, złapała ścierkę od kurzu, trzepała mi po głowie lub ciągnęła za włosy i głowę potrasała na wszystkie strony. Z pracy i głodu zachorowałam na anemię, wzięto mnie do szpitala, tam byłam parę tygodni. Mimo swej

gorliwej pobożności, pani Grodzicka nie raczyła mnie ani razu odwiedzić.

Po wyjściu ze szpitala przebywałam jakiś czas w domu i „trajbowałam”. I znowu poszłam na służbę do bogatego Niemca tkacza. Ten Niemiec był majstrem, miał dużo czeladników chałupników z miasteczka i bliskich wiosek, posiadał własny dom. Tu trzeba było omiać, bo dozorca nie trzymał — myć sześć podłóg białych, bo przychodzili czeladnicy z płóciennymi i po osnowie, to zabrudzili. Nie było wyrozumienia, że jestem młoda. Życie było dobre, ale praca ciężka na moje siły. Sypiać chodziłam do domu, ale nie pozwoliło mi iść wcześniej, niż o dziesiątej. Musiałam pierze drzeć. Wyznaczono mi garnkę na wieczór. Nie mogłam tego skończyć, choć siedziałam dłużej. Gdy nie skończyłam, to rano pani mi wymyślała, że nie jestem warta płacy. — Nic z ciebie nie ma pociechy.

Jej dzieci starsze były ode mnie, to chodzili do szkoły i spać wcześniej. Jeszcze nie zdążyło które stęknąć, już był lekarz. A ja miałam odmrożone nogi, gdyż chodziłam w „klapkach” drewnianych bez osłony pięt. Rece były zawsze mokre, popekane. Płakałam przy tych piórkach wieczorem, ale dola służącej nie była wyrozumiała. Służąca to tylko siła robocza, ma płacone i musi pracować. A ta płaca była tak mała w małym miasteczku. Podłogi myłam przeważnie w zimnej wodzie. W mniemaniu państwa były przez to ładniejsze. Wylewać trzeba było na podwórkę, śnieg tam obmierał i na ulicy, lód rąbać pod studnią. Tak mocno przeziębiałam ręce, że zrobiły się palce nieczułe. I znowu mnie czekał szpital, gdzie przeleżałam pięć tygodni. Mimo że pani była protestantka, odwiedzała mnie co tydzień i chciała, bym przyszła z powrotem do roboty.

Józefa Witowska

Stanisław Cieślak

U progu pierwszej sześciolatki w rolnictwie

Planowanie gospodarcze polega nie tylko na stawianiu określonych zadań produkcyjnych i ustalaniu terminów, w których te zadania będą wykonane, ale również na wyborze środków, których użycie zapewnia i gwarantuje wykonanie planu. Istotnym niemniej elementem planowania jest stworzenie sprawnie działającego systemu bieżącej kontroli wykonania planu oraz zabezpieczenie środków działania zapewniających skuteczną interwencję w wypadku załamania się planu.

Jesteśmy obecnie na etapie wszechstronnych przygotowań do Planu 6-letniego (1950—1955) i zakończenia Planu 3-letniego (1947—1949). Po uchwaleniu w grudniu 1948 roku przez Pierwszy Kongres PZPR podstawowych wytycznych do Planu 6-letniego, po uchwale Rady Ministrów z 30 maja 1949 r., która stanowi bardziej szczegółowe rozwiniecie wytycznych przejętych na Kongresie, poszczególne Ministerstwa przystępują do ostatecznego opracowania w swoich dziedzinach planów szczegółowych uwzględniających każdy, im podległy, warsztat pracy.

Zakończenie Planu 3-letniego i rozpoczęcie nowego Planu 6-letniego stawia przed nami nie tylko nowe zadania produkcyjne, ale wymaga również stałego pogłębiania i ulepszania całego naszego systemu i aparatu planowania.

Pod tym względem istnieją wielkie nierównomierności pomiędzy różnymi działami gospodarki narodowej. O ile przemysł jest stosunkowo najbardziej zaawansowany pod względem planowania, o tyle inne działy gospodarki narodowej, jak również dziedzina usług niematerialnych (kultura, oświata, ochrona zdrowia, opieka społeczna itp.) stoją jeszcze znacznie w tyle. Specjalnie opóźnione są: rolnictwo, handel wewnętrzny, komunikacja, budownictwo, które dopiero w drugiej połowie 1948 r. zaczęły właściwie stawiać pierwsze kroki w dziedzinie planowania.

Charakterystyczne jest dla tych dziedzin opóźnienia w planowaniu, że plany w nich sporządzano się dotychczas ogólnie, bez wciągania do pracy nad ułożeniem planu jednostek terenowych, które ten plan będą wykonywać. Plan tak układane odznaczać się będą zawsze niewielką realnością i nie będą mobilizować mas pracujących do większych wysiłków, a przez to wyraźnie opóźniają tempo rozwoju całego naszego gospodarstwa narodowego.

W rozważaniach obecnych zajmujemy się jedynie planowaniem na odcinku rolnictwa i spróbujemy odpowiedzieć na pytanie, czy możliwe jest na obecnym etapie dalsze jego usprawnienie i pogłębienie.

Zanim znajdziemy odpowiedź na te pytania, dobrze będzie wyjaśnić zasadniczą różnicę, jaka występuje w planowaniu na odcinku rolnictwa a w planowaniu na odcinku przemysłu w Polsce.

1. RÓŻNICE W PLANOWANIU PRZEMYSŁOWYM I ROLNICZYM

Do najbardziej szkodliwych przesądów należy przekonanie, że rolnictwo jest o wiele bardziej zależne od sił przyrody, niż przemysł czy np. komunikacja.

Doświadczenia wielu państw, a zwłaszcza Związku Radzieckiego świadczą wymownie i całkowicie przekonująco o tym, że rolnik pracujący zespołowo, uzbrojony w nowoczesną technikę, stosujący zdobycze nauki panuje nad siłami przyrody, przestaje być ich niewolnikiem i potrafi wydrzeć przyrodzie, to czego mu potrzeba. Z naszych doświadczeń dość przytoczyć dodatnie wyniki planowania na odcinku leśnictwa, które również podobnie jak rolnictwo jest współpracą człowieka z siłami przyrody, a wyniki swej pracy posiada nie o wiele gorsze niż np. przemysł.

Trzeba, aby postawa całej naszej młodzieży wiejskiej stała się postawą czynną i zdobywcą wobec przyrody, bez tego wprowadzenie postępu do naszego rolnictwa będzie niemożliwe.

Istniejąca jeszcze dziś w Polsce różnica w planowaniu rolniczym a przemysłowym polega na czymś zupełnie innym.

Oto w wielkim i średnim przemyśle środki produkcji są upośledzone i znajdują się w swobodnej dyspozycji mas pracujących, natomiast w rolnictwie (oprócz ok. 12% ziemi, która stanowi państwowe gospodarstwa rolne) przeważa dzisiaj gospodarka drobna.

towarowa (mało i średniorolne gospodarstwa chłopskie), a poza nią dużą jeszcze rolę odgrywają w produkcji większe gospodarstwa rolne, posiadające się stale siłą najemną, a więc gospodarstwa o typie wyraźnie kapitalistycznym.

W państwowych gospodarstwach rolnych (PGR) można planować bezpośrednio tak jak w przemyśle, komunikacji, czy leśnictwie. Natomiast odnośnie gospodarstw chłopskich, ze względu na ich prywatno-własnościowy charakter, dysponujemy małą liczbą elementów planowania bezpośredniego różnej reszty jakości (do nich należą np. kontrakty wszelkiego rodzaju) i z konieczności ograniczać się musimy do przewidywania wyników produkcji rolnej i pośredniego wpływu na jej rozwój przez politykę cen, podatki, ubezpieczenia, kredyty, właściwą politykę zaopatrzenia wsi w środki produkcji, należyta organizację skupu rolnego itp. zabiegów.

Te dysproporcje w planowaniu na odcinku rolnictwa w porównaniu z innymi upośledzonymi dziedzinami życia gospodarczego zanikać będą w miarę rozwoju spółdzielczych, zespołowych form gospodarowania na roli.

W upośledzonym bowiem rolnictwie rozszerzają się możliwości najbardziej skutecznego planowania bezpośredniego.

Taka perspektywa nie może nas zwolnić, rzecz jasna, od wysiłku w kierunku wzmocnienia bezpośredniego i pośredniego planowania w rolnictwie jeszcze na obecnym etapie, tym bardziej, że rozwój planowania w rolnictwie przyspieszy upośledzenie rolnictwa.

2. W JAKIM KIERUNKU ZMIERZAĆ?

Te wysiłki winny zmierzać w następujących kierunkach:

Trzeba stale i systematycznie umacniać nową, kierowniczą rolę Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych, jako organu władzy ludowej powołanego do kierowania całością produkcji rolnej.

Obecnie Ministerstwo Rolnictwa tego wpływu jeszcze nie posiada. Poza nim w innych Ministerstwach i Centralach Spółdzielczych zapadają decyzje co do roślin przemysłowych, mleczarstwa, hodowli zwierząt, rozdziału nawozów sztucznych, kredytowania rolnictwa itp.

Ministerstwo to nie posiada również jeszcze dostatecznego i sprawnego aparatu terenowego: agronomów i instruktorów, od gromady wiejskiej poczynając, który by stale pomagał mało i średniorolnym chłopom w układaniu ich planów produkcyjnych zgodnych z ogólnym planem państwowym, oraz usuwał bieżąco wszelkie przeszkody, na jakie wykonanie tych planów natrafia niejednokrotnie w terenie.

Recz jasna i również jak poprzednie nie ulegająca już dziś żadnej wątpliwości, że Mi-

nisterstwo Rolnictwa w swej obecnej strukturze organizacyjnej, w strukturze tradycyjnej odpowiadającej czasom Ministerstwa Dóbr Koronnych, a nie czasom gospodarki planowej, bez Departamentu Planowania, bez Departamentu Finansowego (a nie tylko Budżetowego), bez wyraźnie określonych zadań dla Departamentu Ekonomicznego, który winien stale i bieżąco śledzić koszty produkcji rolnej i wpływać na ich obniżenie, bez Departamentu Inwestycyjnego itd. tej roli kierowniczej w stosunku do całości produkcji rolnej odegrać nie może. Ta sprawa wymaga więc również zmian u progu Planu 6-letniego.

W ramach Związku Samopomocy Chłopskiej należy rozszerzyć zespołowe i indywidualne współzawodnictwo pracy, specjalnie zwłaszcza nacisk trzeba położyć na walkę z wszelkiego rodzaju marnotrawstwem, wydobywając w ten sposób ukryte rezerwy i stale systematycznie obniżać koszty własne produkcji rolnej.

Wielką rolę w mobilizacji mas pracującego chłopstwa wokół państwowego planu gospodarczego mogą odegrać gromadzkie i gminne chłopskie narady wytwórcze, z udziałem przodowników pracy spośród robotników rolnych, jak i przemysłowych, którzy na tych naradach mogliby udostępnić mało i średniorolnym chłopom cenne doświadczenia i przodującą klasę robotniczą i budzić wśród nich potrzebę pracy zespołowej.

Masowy udział chłopów w zobowiązaniach produkcyjnych dla uczczenia Świąta i Maja i Świąta Ludowego świadczy o tym, że sprawa ta zaczyna nurtować i dojrzewać w świadomości pracującego chłopstwa. Trzeba tylko ten spontaniczny budzący się ruch ująć w trwałe formy organizacyjne w ramach Związku Samopomocy Chłopskiej.

Należy specjalną troską i opieką otoczyć na obecnym etapie Państwowe Gospodarstwa Rolne, podnosić stale poziom ich pracy, zapoznawać chłopów z jej wynikami, aby te gospodarstwa mogły się stać jak najszybciej wzorem wyższej, bo zespołowej i planowej gospodarki rolnej, wzorem promieniującym na otaczające gospodarstwa chłopskie. Trzeba również w większym stopniu niż to dziś czynimy kierować produkcją rolną gospodarstw chłopskich przy pomocy planowo zorganizowanej sieci zarówno zaopatrzenia wsi, jak i skupu rolnego oraz zakładów przemysłu przetwórczego. A przede wszystkim zmniejszać do podniesienia towarowości drobnych i średnich gospodarstw chłopskich, popierać przez politykę skupu, zaopatrzenia, przetworstwa ich intensyfikację i specjalizację.*)

*) Ten temat omawiam szczegółowo w nr 3 „Przeglądu Spółdzielczego”, marzec, 1949 w art.: „Handel upośledzony czynnikiem postępu”.



Leopold Boroń



Wiktor Szymonek



Wacław Świątkowski

Wiesław Jajdzynski

ŻYCIORYSY GÓRNIKÓW*)

Jest dżdżysty dzień marcowy. Rok 1903. „Duże, leniwe i flegmatycznie obracające się wskazówki na zegarze kopalnianym dowlekły się nareszcie do godz. 5.30 wieczorem, do końca szychy, której zarobek wynosił nie więcej, jak siedemdziesiąt pięć fenigów. 15-letni górnik — Wiktor Szymonek kończy 12-godzinny dzień pracy. Kończą go również czelej jego bracia Szymonowie, którzy, podobnie jak Wiktor, pracują ciężko na wyzwanie samych siebie i trojga młodszego rodzeństwa. Stary Szymonek — także górnik. Od lat nie żyje. Zginął pod ziemią. Nierazki wypadek śmierci w tamtych latach, latach kapitalizmu, panowania obcego, przeważnie niemieckiego kapitału w śląskich kopalniach.

Równocześnie z nimi kończy przeraźliwie długi i męczący dzień pracy Jan Nowak, chłopski syn, który nawet słyszeć nie chciał o dalszym pozostaniu na roli. Nie widział szans. Natomiast spodziewał się, że po odrobieniu dmiówki na kopalni znajdzie jeszcze dosyć czasu, aby uczyć się i pracować społecznie.

W ciemnych, źle oświetlonych i niedostatecznie wietrzonych sztolniach spotykali się Szymonowie — górnicy z ojca i dziada z Nowakami — młodymi chłopcami, których los wyrzucał z kurczących się parcel. Nowak — jak sam pisze — nie miał o świecie najmniejszego pojęcia, znał „tylko dwie w świecie szczytne osobistości, to jest: księdza i nauczyciela”. W kopalni poznał nową, przekształcającą życie wartość — pracę górnica.

Nie ma chyba życiorysu, w którym by nie podkreślał każdy pamiętnikarz, przywiązania do zawodu, do pracy górnicej. „Od 6—14 roku uczęszczałem do szkoły na Krazowy — pisze Piotr Szyja — i kupiłem sobie zeszyt i rysowałem w nim kopalnie, szybki, wózki do wydobycia węgla i do spuszczenia węgla i różnego materiału. A matce opowiadałem, że jak mi będzie 16 lat, to sobie poszukam pracy na kopalni, bo mam wielkie zamiłowanie w tym zawodzie... Także mój ojciec pracował na tej kopalni 45 lat”.

„Górnictwo podobało mi się dlatego, że górnik jest pierwszym robotnikiem na świecie. Żeby nie górnik, to by żadna fabryka,

ni żadna kolej nie mogła istnieć” — dopowiada inny pamiętnikarz.

Nie łatwe jednak było życie robotnicze w tamtych latach. Zarówno dla Szymonów przedłużających tradycję rodzinnego zawodu, jak i Nowaków, zakładających dopiero dynastie górnice. Wszyscy zjeżdżali pierwszy raz pod ziemię jako 14—15-letnie dzieci, choć trzeba było mieć lat 16. Za markę, lub rubla przerabiał usłużny organista, czy urzędnik gminy metrykę. Wszyscy kilkanaście, lub nawet kilkadziesiąt razy zmieniali miejsce pracy. Można by powiedzieć, że częstość wydalania z pracy była tu w stosunku prostym do świadomości społecznej górnika. Im bardziej uświadomiony klasowo górnik, tym częściej słyszał z ust pełnomocnika kapitału: za mądry jesteś — takich nam tu nie trzeba.

Wędrowali zatem od kopalni do kopalni Szymonowie, wędrowali Nowak, Szyja i wszyscy dosłownie autorzy pamiętników. Zmieniali warsztaty pracy, nie zmieniali jednak w olbrzymiej większości — zawodu.

„...ta nędza i psia dola — pisze Wacław Świątkowski — która od dziecka mnie przesładowała, nie jest wyłącznie moim udziałem... takich jak ja znajduje się setki i tysiące”.

W atmosferze ciężkiej pracy, wysiłku i niedostatku, w atmosferze nieustannego poszukiwania pracy rosło nie tylko braterstwo górnice, rosła także świadomość klasowa.

Pierwsza wojna światowa. W luksusowej willi schodzą się nadsztygar, inspektor górnicy — obaj Niemcy, sztygarzy objazdowi, wierni słudzy kapitału, nie brak też niemieckiego pastora i polskiego proboszcza. I kiedy w przykopanych obozach giną setkami z głodu jeńcy rosyjscy, jugosłowiańscy i włośli, wśród toastów pijani duchowni wraz z resztą śpiewają: „In der Heimat da gibst's ein Widersehn”. Dla proboszcza i sfory wysługujących się kapitałowi sztygarów ojczyzna jest tam, gdzie jest kapitał.

Scenę tę obserwuje Wiktor Szymonek i towarzysze. To właśnie wtedy powiada Szymonek: „Dopóki ustrój kapitalistyczny nie zostanie zniesiony, to robotnik zawsze będzie ofiarą wysiłku, niewolniczą masą murzynów, oraz... dynamiczną siłą dla tych, którzy trzymają tę masę w szponach”.

Równocześnie żony robotników dostarczają jeńcom chleb, nie mają go przecież za dużo.

Kiedy niebawem wybuchnie strajk, te same kobiety wyzwać będą wahających się do solidarności, same będą wymierzać sprawiedliwość łamiętrajkom.

Szymonek jest patriotą. Pragnie politycznej niepodległości narodu, ale równocześnie aż nadto dobrze rozumie, że walki o niepodległość nie można oddzielić od walki o sprawiedliwość społeczną, o zniszczenie kapitalizmu. Taka postawa przewija się poprzez wszystkie życiorysy. Niemal każdy z autorów brał udział w powstaniach śląskich, ale równocześnie każdy z nich rozumie, że walki z kapitalizmem. Paweł Gajowski opowiada o górnikach i innych robotnikach śląskich, którzy nie tylko walczyli z wojskiem niemieckim, ale równocześnie prowadzili ostrą walkę polityczną z fabrykantem Fitznerem i jego poplecznikiem — księdzem Świdrem. Dla proletariatu już u początków Polski przedwojennej jasne było, iż nie ma wolności narodowej bez wolności społecznej, że walka z Niemcami to równocześnie walka z kapitałem.

Doświadczenia okresu II Rzeczypospolitej prawde tę całkowicie potwierdziły.

Jest rok 1933. Polska niepodległa. Górnik Leopold Boroń już od kilku lat nie ma pracy. Uznany za komunistę nie przyjmowany do żadnej pracy pisze rozpaczliwe prośby na wszystkie strony. Nawet do Prezydenta Rzeczypospolitej, powołując się na fakt, że był członkiem POW, brał udział w powstaniach śląskich i plebiscycie. Wszystko darremne. W międzywojennej Polsce nie było pracy szczególnie dla tych, którzy ideę narodu raz na zawsze związali z ideą sprawiedliwości społecznej, z ideą walki z kapitalizmem.

„Był okres nieprzerwanych redukcji, turmusów i zamykania kopalń, jak również i obniżek płac — pisze Stanisław Świątkowski — ...Wtedy klasa robotnicza w Polsce naprawdę do jakiejś poważniejszej walki nie była zdolna, dzięki rozbić na dziesiątki najrozmaitszych organizacji zawodowych, przeważnie burżuazyjnych... Cała walka — jeżeli to walką nazwać można — ograniczała się do obrony przed redukcją jak największej liczby swoich własnych członków kosztem Związków innej organizacji zawodowej. Przy tym wszystkim ofiarami stawali się przede wszystkim robotnicy najbardziej klasowo uświadomieni, jako najbardziej niewygodni...”

Właśnie dlatego Boroń Leopold skazany został na długoletnią tułaczkę od kopalni do kopalni, mimo, że przecież Polska była „niepodległa”. W rzeczywistości dysponował nią jeszcze silny kapitał, ten sam w roku 1933 co i w r. 1903. Z tego powodu niewiele się

zmieniło w położeniu klasy robotniczej. Ta sama nędza, ta sama „psia dola”.

Boroń musi opuścić „wolną” ojczyznę. Zrezygnuje Boroń, jak cały proletariatus — nie posiadał, bo nie zdobył jeszcze w tamtych latach, ojczyzny. Pracował w Belgii.

„Gorąc na poziomie 1000 m, kurz zatyka krtani, parę razy wymiotuję, ręce mdleją, ogarnia słabość. To są skutki bezrobocia w Polsce. Smaruję kolana brenspyrtysem, przeklinam na wszystkie świętości ustrój faszystowski w Polsce. Przeklinam faszyzm polski!” Słowa te wypowie Boroń jeszcze niejednemu raz. Wtedy gdy kawał węgla rozpruje mu brzuch i wtedy gdy pozbawiony opieki lekarskiej, cierpiący na reumatyzm, będzie rąbał węgiel kłęcząc lub nawet leżąc. Uświadomi sobie wówczas coś więcej — miałowicie, że kapitalizm w swej istocie nie jest ani polski ani belgijski. Jest kosmopolityczny. Dosięga wszędzie, gdzie jest, pracującego człowieka. Wszędzie też przez pracującego człowieka solidarnie powinien być zwalczany.

Człowiek jest fragmentem historii. Nie można go poza nią ani zrozumieć, ani wyjaśnić. Życiorysy górników, życiorysy wyrabane kilofem nie przedstawiają dzieł wyizolowanych z historii indywidualnych. Kilkaset stron, napisanych nieraz niewprawną w trzymaniu pióra ręką — to niemały fragment historii polskiej klasy robotniczej. Świadectwo kształtowania się jej postaw wobec wolności politycznej i społecznej narodu i świata.

Jan Nowak — chłopski syn ma już za sobą 44 lata pracy w górnictwie. Chciałby osiągnąć 50 lat pracy. Dziś jest sztygarem członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, ma za sobą trudny okres walki z rodzimym i międzynarodowym kapitałem. Wszedł z proletariatu wsi w klasę robotniczą, tak jak nieco później weszli w nią Pstrowski i Apryas, tak jak wchodził w nią dziś dziesiątki tysięcy młodych chłopów. Dzięki Szymonkom, Borońom, Świątkowskim, Szyjom, Gajowskim i tylu innym, przestał oddzielać wolność polityczną narodu od wolności społecznej, to jest wolność od socjalizmu.

A wolność prawdziwą, którą realizuje klasa robotnicza, to nie jest tylko jej sprawa. I nawet nie tylko chłopstwa. Jest to sprawa wszystkich ludzi pracy. Dlatego każdemu człowiekowi pracy należałoby polecić do czytania owe życiorysy kilofem wyrabane,

Józef Pogan

„Krytyka miłująca”... wrogów?

Lichniak omówił w paru kolejnych numerach „Dziś i Jutro”, twórczość literacką pisarzy: Juliana Gałaja — „Mystkowie wioska mała”; Stanisława Piętaka — „Młodość Jasia Kune-fala”; „Nagi grom”; „Białowiejskie noce”; „Ucieczka z miejsc ukończonych”; Władysława Dunarowskiego — „Leżąc krzyżem”; „Ludzie spod miedzy; oraz moje „Ugory” i „Cierpkie owoc”.

Zasadniczo nie lubię odpowiadać krytykom i tym razem również pragnąłbym powstrzymać się od tego. Pocucie prawdy zmusza mnie jednak do zabrania głosu. I bynajmniej nie we własnej obronie — pomijam wszystkie wywody Lichniaka na temat mych literackich niedociągnięć, pragnę tylko wyjaśnić sens jego pomyłek, dotyczących spraw społecznych. Bo być może nie pomyłki, a wcale rozmyślane „mydlenie oczu” czytelnikom „Dziś i Jutro”. Tak więc czy owak — wymaga to wyjaśnienia. Z. Lichniak w swych doświadczeniach nad mymi „Ugorami” nazywa trywialne przyspiewki dziewcząt na weselu „przejaskrawieniem prawdy o wsi polskiej”; zaś zastrzeżenie lewicowca Bąbasa i zabójstwo dwu chłopaków — jakimiś „bezwzględny” „przez mnie enuncjacjami” (ogłoszeniami, doniesieniami?)

Ze Lichniak nie zna życia przedwojennej wsi polskiej — temu się nie dziwię. Dziwię się natomiast, że zabiera głos o nieznanych sobie sprawach, próbując zatuzować publicznie prawdę społeczną. Owszem, dla czytelników katolickich „Dziś i Jutra”, doczuanych przez „Tygodnik Powszechny”, tak Lichniakowi robić wypada. Tylko jak można w takim razie uwierzyć w panegiryki o Lichniaku w „Dziś i Jutro”, gloryfikujące jego obiektywizm krytyczny i zapewniające czytelników o jego „sensus catholicus” i „miłującej krytyce”? Nie można w to uwierzyć i — trzeba nazwać Lichniaka oportunistą ulegającym polityce katolickiej opozycji. A że tak jest, przekonamy się na podstawie poniższych wyjaśnień.

Trywialne przyspiewki dziewcząt na weselu nie są bynajmniej „przejaskrawieniem prawdy o wsi” — jak podaje Lichniak — a raczej niedomówieniem przeze mnie tej prawdy. Np. Honorka Kanarkowa (podaje autentyczne nazwisko) w czasie świątecznej zimowej narzekania przez jakiś czas: „Zasypało drogę do wsi, a ja się mam iść tam swaryć” (kłócić). Oczywiście tak ta jak i inne swarzą się często. Kłóca się np. zżarcie dwie kobiety. Wokoło pełno ciekawych ludzi: starych,

młodych i dzieci. Jedna z kłócących się trzyma za rękę dziesięcioletnią córkę, wskazując na swe przyrodzenie: i woła na tamtą: „Tu! tu! tu! k... twój k... wciąż ci cudzi!”

Takie kłótnie zdarzały się po wsiach stale. Wstrzymuję się jednak od ich opisów, wyznaczając sobie w tym wypadku pewną granicę.

Także zabójstwo lewicowca Bąbasa i dwóch chłopaków było faktem i to nie wyjątkowym. Np. w innej wiosce, w rodzinie Polaków, na tle nierówności podziału majątkowego, troje ludzi zarabano w nocy siekiera. I tak co pewien czas i co wieś — to samo.

Czy takie wypadki oskarżają wieś? — I tak i nie. Człowiek przecież tak samo jak i rośliny: jakie ma warunki rozwoju — tak się rozwija i wyrasta. „Karlowski” psychicznej (czy tylko psychicznej?) pomagała się utrwalic modlitwa i nawoływanie z ambony o „chrześcijańskiej miłości bliźniego”, skoro uznawała i utwierdzała nędzę wsi, ciemnotę i uczyła relatywizmu moralnego przez częste postępkę księży przeciwieństwo głoszonego cnotom. Np. zabitego lewicowca Bąbasa ksiądz nie pozwolił pochować na cmentarzu i o pomoc zwrócił się do policji. Ale gdyby zmarł zabójca, wtedy ksiądz (oczywiście za pieniądze) zaopiekowałby się jego zwłokami i duszą. To są znane każdemu prawdy. I to jest wielka przyczyna, że nawoływanie z ambony do „chrześcijańskiej miłości bliźniego” niewiele lub zgoła nic nie pomaga. Ale o tym Lichniak nie wspomina, jakkolwiek go to przy omawianiu „Ugorów” obowiązywało. Choćby dlatego, że pokazując ten sam „medal” z jednej strony, należało go też i odwrócić.

Pod koniec wywodów nad „Ugorami” Lichniak domyśla się: „Obiektywna relacja Pogana miała, jak należy się domyśleć — jeden cel: oskarżenie systemu społecznego, który stworzył sytuację czyniącą z chłopów narzędzie najniższych instynktów i najprymitywniejszych popędów. Opis miał być jednocześnie protestem, wyzwaniem rzuconym w twarz twórcom ustroju, czyniącemu z chłopów bandę łobuzów, karierowiczów i morderców”. — I zaraz kontruje:

„Niestety, taka interpretacja opisu Pogana jest postawiona domyślności pełnego dobrej woli czytelnika. Sama powieść, zespół przedstawionych w niej faktów i wydarzeń nie stwarza dostatecznych przesłanek do obiektywnej argumentacji, która by przekonała nas o słuszności naszych domysłów. Bo przecież i założenie studni i możliwość założenia

szkoły i wreszcie częściowe uwzględnienie pretensji chłopskich przez władze gminne przedstawiały system w niedostatecznym barwach, aby usprawiedliwić ponurość Pogonowego opisu. Obrazki ściągania podatków, może i przekonujące, nie ratują sytuacji. Pogan zbyt powierzchownie obnaża społeczno-polityczne korzenie przedstawionych zjawisk, podkopując przez to wiarę w ich prawdziwość historyczną i w ich logiczne prawdopodobieństwo”.

Rozpatrzmy rzeczowo te trzy poruszone przez Lichniaka sprawy i niechaj jeden z nas w obliczu prawdy skapitułuje przed społeczeństwem.

Dziwne doprawdy, że Lichniak takim drobiazgiem jak wybudowanie we wsi studni próbuje nieco wybielić kapitalistyczny ustrój społeczny. Lichniak opiera się na tym, że niby „władze przynaglały do budowy studni, a wieśniacy wzbraniłi się od tego”. Ale trzeba rozumować — to bynajmniej taki drobiazg nie usprawiedliwia w niczym złego ustroju. Może go nawet jeszcze silniej obciąża, ukazując, jak wychowywał chłopów w nieświadomości i nędzy... że każda złotówka opłaty na budowę studni przerażała większość wieśniaków... Cokolwiek uświadomienie i mający jako tako znośne warunki życia — wieśniacy i bez ingerencji władzy wybudowałyby studnię. Tej prawdzie tylko laik i dyktant spraw społecznych może zaprzeczyć. Zaprzecza też i Lichniak, bo ma w tym ukryty cel: fałszowanie prawdy.

To jedna „strona medalu”. Druga — że wybudowanie studni nie leżało tylko w samym interesie wiejskiej ludności. Woda potrzebna była również i władcom (np. dla gaszenia pożarów, dla przejeżdżającego wojska, dla przechodniów, letników itd.). Gdybyśmy opierali się na takich motywach jak Lichniak, musimylibyśmy nazwać zelektryfikowanie jakiejś miejscowości przez Niemców w czasie okupacji (a były takie wypadki) troską o ekonomiczny rozwój Polski! Albo nawodnienie pustynnych płasków w Afryce troską Anglików o dobro niewolniczych Murzynów! E, panie Lichniaku! nabierz no pan jakiegoś rozsądku!

Dalej powiada Lichniak, że „była we wsi możliwość założenia szkoły”. Nie chce się spierać z nim o to, czy me opisy w „Ugorach” potwierdzają tę możliwość, czy też nie. Chodzi mi tylko o sprawę zasadniczą: czy ekonomiczna możliwość już całkowicie rozwijała sprawę, gdy brak właściwej klasowo inicjatywy i postępowego zrozumienia, a zatem i faktu realizacji? „Możliwość wybudowania

szkoły” przekształca się właśnie pod patronatem księdza i jego slugusów w możliwość wybudowania kaplicy. I w tym właśnie odczytuje się ustrój, a nie tylko w samych warunkach ekonomicznych możliwości. Cóż z tego, że choćby wieś miała nawet możliwości dorobkowe, gdy zamiast je wykorzystywać ku postępowi społecznemu — wykorzystuje je dla uciemiężenia? Stoi kaplica, ksiądz mówi w niej o „psim obowiązku składania ofiar na kościół” (sic), zbiera datki „na potajemny cel”, (sic) a budowę szkoły paraliżuje się z roku na rok. Wynajęta w zwykłej chacie — „dragiem nadal podparta, a na widowni stu-kilogramowy ksiądz” — jak pisała mi jedna z nauczycielek. Oczywiście, gdyby nie budowa kaplicy — może wybudowano by szkołę. No, ale takie „gdybanie” niczego nie dowodzi. Bo gdyby wieś nie była ciemna i biedna... gdyby władze zechciały... gdyby ksiądz nie przeciwdziałał... Znaczący „gdyby nie zły ustrój”. Po cóż go więc próbować wybielać?!

Także według Lichniaka „częściowe uwzględnienie pretensji chłopskich przez władze gminne nie przedstawiają systemu w należyte ciemnych barwach”. „Miłująca krytykę” wykretnego Lichniaka. Jego „sensus catholicus” wtedy dopiero kazałby ujawnić przedstawiony system w „ciemnych barwach”, gdyby np. wójt w każdej wsi wystawił skazańcem na chłopów, a ksiądz odmawiał skazańcem „ostatniej poieczny”, tak jak odmówił chrześcijańskiego pogrzebu zabitemu lewicowcowi, Bąbasowi. Śmiech zbiera na takie naiwne wywody Lichniaka, bo przecież nawet „nie miłująca” krytyka, bez owego „sensus catholicus” wie dobrze, że urząd gminny był od tego, aby coś robił i choć na odepne coś „nieokrzesanym chamom” uwzględnił. Przecież sama taktyka rządzenia nakazywała przysięgać władzom pogardę do chłopów, ogórne zarządzania wołały perfidnie: „Frontem do wsi”!!!

Reasumując, ja według Lichniaka, „powierzchnym obnażaniem” społeczno-politycznych korzeni przedstawionych zjawisk podkopuje wiarę w ich prawdziwość historyczną. To właśnie Lichniak swą interpretacją próbuje podkopywać prawdę o przedwojennym ucisku wsi. Wiadomo, dlaczego robi ten wykretny manewr: nie chce uderzać w dzisiejszy ustrój — uderza w prawdę dawnego ustroju, chce go cośkolwiek wybielić. Próba ta uwadnia się poprzez wszystkie wyż. wym. artykuły krytyczne. Tę jego postawę ideologiczną można określić krótko: „miłująca krytyka” musi robić na złość obecnej rzeczywistości. Ale ten — „sensus catholicus” antymarksizm est.

Marian Nowakowski

Jeszcze o wyższych studiach korespondencyjnych

Dotychczas sprawą wyższych studiów korespondencyjnych zajmuje się tylko „Wieś”. Wydaje się, że te zagadnienia są tak powszechnie ważne, iż wiele innych czasopism, a głównie te, co obsługują najdalsze zakamarki terenu, winny się nimi zająć. Tego nie widać, więc tym większa zasługa, moim zdaniem, „Wsi”. Bo sprawa jest naprawdę ważna i pilna. Przecież nas jeszcze nie stać na luksus i nie będzie nas jeszcze długo stać na to. Ludzie, zwłaszcza młodzi i już do pracy zawodowej przygotowani — powinni pracować. Ale nie wolno im za ich pracę odmawiać prawa do studiów. To chyba ważniejsi będą „studenci”, bo swą pracą zawodową przy równoczesnym uczeniu się spłacą obficie „należność” wobec Państwa Ludowego i społeczeństwa demokratycznego dług za umożliwienie im dalszego uczenia się.

Ob. Krupa w 26 nr. „Wsi” podkreśla znaczenie tego sposobu studiowania ze stanowiska terenowca, oderwanego dziesiątkami kilometrów od ośrodków, posiadających wyższe uczelnie. Wywody jego są słuszne i całkowicie uzasadnione, a myślę, że tysiące jemu podobnych podpisze się pod jego artykułem bez zastrzeżeń. Lecz sprawa ta ma szerszy zasięg, dlatego nie można jej traktować jednostronnie. Dotyczy ona nie tylko tych ludzi, którzy poszli do pracy na tereny wiejskie, czy małopiętaczkowe, ale dotyczy nawet i tych, którzy tuż pod bokiem wyższych uczelni muszą pełnić funkcje zawodowe czy społeczne i nie są w stanie korzystać normalnie z całego systemu studiów wyższych.

Jako pracownik administracyjny jednej z wyższych uczelni widzę oto takie rzeczy:

Zdobycze naszego Państwa Ludowego na polu oświaty są olbrzymie — udogodnienia takie, o których poprzednikom nie udało się nawet śnić. System stypendialny rozwija się coraz lepiej i obejmuje swym zasięgiem coraz liczniejsze szeregi studiującej młodzieży. Ale przy tym wszystkim jest dużo i jakże bardzo dużo takich, którzy jeszcze muszą chwycić się różnych prac zarobkowych, aby przeżyć lata studiów. Zresztą te ich prace są również nader pożyteczne dla społeczeństwa. Tylko że prace te są uregulowane pewnym porządkiem, zwłaszcza prace biurowe, i trudno żądać, ażeby uczelnie wyższe stosowały swoje urzędników do potrzeb prac biurowych. Dlatego wielu pracujących zawodowo i zarazem studiujących w miastach, gdzie są wyższe uczelnie, prócz umiędziania niewiele ze studiów mogą wynieść.

Bo pomyślcie:

Pracuje ktoś w jakimś biurze od 8 do 15 i lyknawszy zupki w stołówce, pędzi na wykłady czy inne zajęcia, gdzie śleczy do godz. 20 czy nawet 22. Co on z tego ma? Co ma z tak wycieńczonego człowieka praca zawodowa czy instytucja, w której pracuje i chce pracować? Czyż nie lepiej byłoby dlań i dla jego pracy zawodowej pójść go godz. 15 do domu, wziąć do ręki dobrze zredagowany skrypt, czy należycie wskazaną literaturę i w spokoju, bez zahukania, popracować nad sobą będąc przekonanym, że zawsze ma możliwość zwrócić się do odpowiedniej instytucji, która udzieli mu potrzebnych wyjaśnień i zaopiekuje się każdą jego bledą w czasie studiów? Ja myślę, że lepiej i to lepiej tak dla niego jak i dla jego pracy zawodowej, a więc dla całego społeczeństwa.

Poruszam to jako zagadnienie i to ważne zagadnienie, bo do tej pory w dyskusji nad tymi sprawami zagadnienie to nie było poruszone. Studia korespondencyjne tylko „dla terenu”, a ja myślę, że dla ludzi pracujących i chcących się uczyć bez względu „na teren”.

Zdaje mi się, że tu ani urzędy, ani pojedyncze osoby niewiele pomogą. Tu potrzeba zainteresowania się jakiejś masowej organizacji społecznej, a najbardziej nadająca się na to to chyba Związek Młodzieży Polskiej. Przecież prowadzi już od paru lat studia korespondencyjne na poziomie średnim i wiem, że z dobrymi wynikami, więc chyba dalsza rozbudowa nie przedstawiałaby specjalnych trudności. Jest to tym bardziej sprawa Związku Młodzieżowego, że na pewno większość uczestników to będą jego członkowie, a ponadto taka właśnie organizacja może zagwarantować należyty kierunek i poziom ideowy tego rodzaju studiów. W prasie związkowej głucho jednak na ten temat. Przecież istnieje ZAMP, a czyż to nie piękne pole do pracy dla tej organizacji?

Teren czeka, teren pragnie tych studiów, ale przecież ten rozległy teren nie zdoła ich zorganizować i poprowadzić. Czekamy na rzetelną odpowiedź.

Ktoż mu uwierzy?

W ostatnim numerze katolickiego miesięcznika „Znak” zamieścił ks. Wincenty Kwiatkowski pokazywany artykuł pt. „Experimentum fidei”, którego znaczną część poświęca na wmawianie czytelnikowi, że materializm jest przezwyciężony i to właśnie na gruncie współczesnej fizyki, gdzie w ogóle należy do archaicznych, zamierzchłych zabytków.

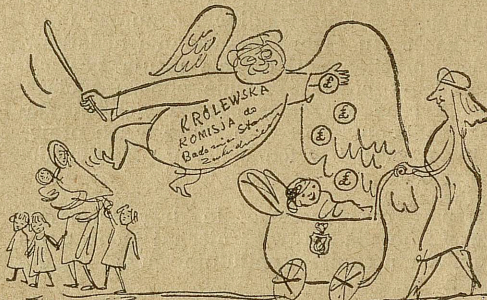
Osobiście pojmuję skutki podobnych sugesti, wiem czemu i komu służą, ale zdumiony jestem, jak to niby można z mechaniki kwantowej wyprowadzić dowód na istnienie Boga. Operacja to raczej szczególna i obliczona przede wszystkim na łatwowierność czytelników. Zastrasza się ich nazwiskami wielkich z pewnością fizyków, niestety usiłujących poza tym uprawiać z gorszym nieco powodzeniem mistykę i jakąś pseudo-ontologię.

„Przeciw materializmowi” — woła ks. Kwiatkowski — „wystąpił” wraz z Planckiem słynny astronom z Cambridge, Artur Stanley Eddington i w odczycie wygłoszonym w roku 1929 pt. „Die Naturwissenschaft und die Welt des Unsichtbaren” występuje w obronie religijno-idealnego ujęcia rzeczywistości — kosmosu. A znówu Jeans, profesor uniwersytetu w Cambridge pisze, że obecnie fizycy są zgodni w tym, iż wszechświat przedstawia się raczej jako wielki umysł, niż jako maszyna i że duch w obrębie materii nie jest żadnym przypadkowym wtrętem, lecz przejawem, że należy powitać go jako twórcę matematyki”. Mimowoli przypominają się słowa Chwistka z „Granicy nauki”: „kiedy komediopisarz Bruno Winawer szydził z filozofów przeciwstawiając im przedstawicieli nauk ścisłych, jako twórców nowych form życia na ziemi, to nie liczył się z tym faktem, że właśnie ci wielcy uczeni korzą się przed filozofami i pragną za wszelką cenę poznać na medycrów odkrywających kamień filozoficzny. Tak było, dopóki nie przeczytał popularnych wykładów twórcy teorii falowej, Schrödingera. Przeczytał je i ułakł się morza, nieodpowiedzialnych frazesów i tępych alegorii, zestawiających współczesną fizykę z tzw. nową rzeczywistością w sztuce, a elektron z poszczególnymi jednostkami ludzkimi”.

A te właśnie „nieodpowiedzialne frazesy i tpe alegorie” propaguje pod maską nauk przyrodniczych ks. Kwiatkowski. Ktoż mu uwierzy? A. M.

Też obrona kultury zachodniej

W ostatnich dniach ogłosiła sprawozdanie ze swej działalności wyznaczona przez rząd brytyjski Królewsk Komisja do Badania Stanu Zaludnienia na terenie imperium brytyjskiego. Komisja pracowała długo i żmudnie — i po tych długich i żmudnych pracach ogłosiła, że ze względów „strategicznych i politycznych” należy powiększyć liczbę urodzin wśród klas wyższych, natomiast ograniczyć liczbę urodzin w klasie robotniczej. Zalecano przy tym zmniejszenie podatków rodzinnych dla rodzin, posiadających



duże dochody — dlatego przede wszystkim, że wychowanie dzieci w klasach wyższych jest bardzo kosztowne. Czy nie jest to słuszny wniosek? Należy przecież dbać o przyszłość rasy panów — by ułatwić im „misję” gniebienia klasy robotniczej i narodów kolonialnych.

Przez tę akcję populacyjną — sędzi komisja — dostarczą się Anglii w „odpowiedniej ilości obrońców cywilizacji zachodniej”. Czy ktoś może wątpić, że raport Królewskiej Komisji ma charakter „demokratyczny” i „socjalistyczny”? „Socjalistyczny” Bevin na pewno mu przykłada nie — i uzna go za niezbędny element „paktu atlantyckiego”.

Ale gdyby Goebbels słyszał ten raport, zatarłby ręce z radości. M. N.

Czyżby?

Biuletyn ambasady amerykańskiej (Nr 22) z widoczną satysfakcją zamieszcza fragment przemówienia p. dr. Ralpa Bunche'a na temat położenia Murzynów w USA.

FAKTY i ZDANIA

„Chociaż nic nie jest łatwe dla Murzyna w Ameryce, to jednak nie ma rzeczy dla niego niemożliwych do osiągnięcia. Przegrady, jakie stwarza rasa, są groźne, lecz mogą być przezwyciężone. W rzeczywistości cała historia Murzynów w tym kraju daje nam przykłady stałego, nieugiętego postępu w przezwyciężaniu tych barier” — oświadczył p. Ralph Bunche.

Czyżby? Cała historia Murzynów pokazuje zupełnie co innego. Wszystko jest możliwe? To w takim razie dlaczego tak się dzieje, że w Stanach Zjednoczonych na każdy 1000 mieszkańców przypada 100 Murzynów, ale na każdy 1000 wyborców tylko 8 Murzynów?

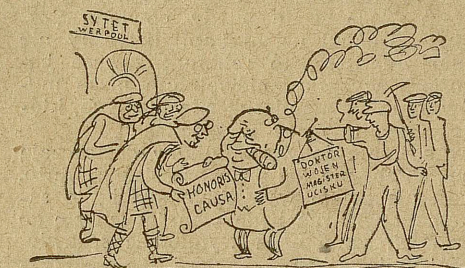
Jeżeli wspomniany Biuletyn pragnie rzeczywiście informować polskiego czytelnika o sytuacji Murzynów, powinien powoływać się na bardziej autorytatywne wypowiedzi. Np. prezydenta Trumana, który dosłownie powiedział: „Godność Murzynów wciąż jeszcze szargają, obrażając ich obelgami, poniżając ich strach i terror. Żyją oni — muszą to niestety przyznać — pod groźbą linczu i gwałtu ze strony motlochów”.

Albo jeszcze lepiej byłoby zapoznać naszego czytelnika z książką senatora Bilbo zatytułowaną wymownie: „Wybierając między rozdzielaniem lub zmieszaniem się ras”. W której ów senator pisze: „Stare, aryjskie cywilizacje Egiptu, Indii, Fenicji, Grecji i Rzymu zginęły, bo rasa rządząca zmieszała się z niepełnocennymi rasami. Trzeba wyrzucić wszystkich kolorowych ludzi z USA, bo inaczej Stany Zjednoczone zginą...” No bo „Mein Kampf” cytować — to mimo wszystko nie wypada.

J. S.

Podwójny doktor honoris causae

Angielski świat naukowy liściem swojego szacunku przyozdobił ostatnio głowę... Churchill. Oczywiście nie bez racji, uniwersytet w Liverpoolu nadał Churchillowi tytuł doktora honoris causae. Zasługi jego są tu nie małe. Czyż swoją praktyczną działalnością



polityczną, w której z niesłychaną konsekwencją manifestowała się zawsze jego wroga postawa wobec sił postępu i sprawiedliwości społecznej — nie stanowił niejednokrotnie ożywczo źródła dla teoretycznej myśli burżuazyjnych naukowców? Wyrazy uznania od tej strony są zupełnie na miejscu. Lud jednak też pamiętał o uczczeniu „opatrznościowego męża”. Dali temu wyraz mieszkańcy Liverpoolu zebrani na wiecu w dniu wręczenia przez władze uniwersyteckie doktoratowi honorowego dyplomu. Na wiecu tym robotnicy uchwalili obdarzyć Churchilla tytułem od siebie. Odnosna formuła listu brzmiała: „My, prawdziwi przedstawiciele milującego pokój narodu, nadajemy panu tytuł doktora wojen, magistra ucisku i członka towarzysstwa naukowców reakcji światowej” (podkreślenie nasze).

M. K.

O bezrobotnych i dobrym wychowaniu

Mija już piąty miesiąc od czasu, jak rozpoczął swe prace 81-szy z kolei Kongres Stanów Zjednoczonych. Jakimi osiągnięciami może się Kongres pochwalić?

Czy dusząca ruch robotniczy ustawa Tafa-Hartleya została zniesiona? — Nie. Ciężary podatkowe zmniejszone? — Nie. Wydatki wojenne uszczuplone? Także nie. Więc może za trudniono bezrobotnych? Skądże! Liczba ich wzrosła i dosięga obecnie 4 milio- now.

Więc co właściwie Kongres zdziałał? A zdziałał, i to nawet bardzo dużo. Zatwierdził mianowicie wydatki na organizację sieci szpiegowskiej w krajach demokracji ludowej i Związku Radzieckim. Zatwierdził także sposoby wywołania zwykłej ceny dolara, przy równoczesnej dewaluacji funta angielskiego i franka.

Czy to wszystko? Jest jeszcze jeden bardzo ważny dekret kongresowy, a właściwie kodeks dobrego wychowania, skierowany pod adresem 89 nowych kongresmanów, którzy okazali bardzo kiepskie maniere.

„Nie pal pod pulpitem, nie trzymaj w zębach zgazowanego papierosa, fajki lub cygara. Nie kładź nóg na oparciu fotela, nie spaceruj pod nosem przemawiającego kolegi. Nie czytaj gazet podczas posiedzenia. Nie wywołuj głośno posłów po imieniu” — oto tekst kodeksu, nad którym radził 81 Kongres Stanów Zjednoczonych.

I chociaż na posiedzeniu poświęconym sprawom dobrego wychowania było tylko 40 spośród 435 kongresmanów, to jednak uważa się je za jedno z najbardziej owocnych.

P. P.

Związek Katolickich przedsiębiorców

W 25 numerze „Tygodnika Powszechnego” w dziale „Kroniki religijnej” czytamy: „Związek Katolickich Przedsiębiorców” — W encyklice „Quadranno” zrobił Pius XI ka-

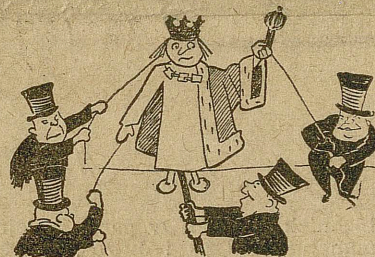
tolickim przemysłowcom zarzut, że się nie mogą zdobyć na utworzenie własnego związku, gdy katolicy robotnicy w wielu krajach rozwinęli szeroko swoje własne organizacje. W tym czasie istotnie były związki katolickich przedsiębiorców tylko — zdaje się — w Holandii i we Francji. Po ostatniej wojnie powstały także w Belgii, a ostatnio w zachodnich Niemczech pod wpływem arcybiskupa Kolonii, kard. Fringsa. Konstytucyjne zebranie Związku (Bund Katholischer Unternehmer) odbyło się w Düsseldorfie. Prezesem został wybrany gen. dyrektor zakładu Glatzstoff-Courdauls, Franciszek Greis. Przyjęto statut, który stwierdza, że Bund nie jest organizacją gospodarczą ani zawodową; „jego celem właściwym jest współpraca nad realizacją ustroju społecznego, według zasad encyklik”. W obronie Bundu (w odpowiedzi na ataki socjalistów — dop. nasz) wystąpił katolicki działacz robotniczy Józef Gockel, który podniósł, że to właśnie katolicy robotnicy przyczynili się do jego powstania, uważając, że współpraca robotników z przemysłowcami przyspieszy realizację ustroju „stanowo-zawodowego”. korporacyjnego, zaleconego przez Piusa XI i Piusa XII.

Ciekawe, ciekawe... jak żyją i pracują robotnicy wsielcy z fabrykach, które w 50 i więcej proc. zależą od przedsiębiorców najbardziej katolickich — bo watykańskich? Dziwna... „Kronika religijna” Tygodnika Powszechnego, właśnie po niedawnym Kongresie Związków Zawodowych...

A może by tak, kronikarzu „Tygodnika”, w następnej „kronice religijnej” poruszyć takie ciekawe „religijne” historie, jak powiązanie kapitału watykańskiego z amerykańskim np?

Kto rządzi w Grecji?

W Grecji — jak wiadomo — panuje miłoścy król Paweł spowinowańczy z niemiec- ką dynastią Hohenzollernów. Imię króla Pawła figuruje oficjalnie na sztylce monar- chii greckiej. Ale za królem Pawłem stoi amerykański ambasador Grady. Ambasador amerykański jest oczywiście żonaty. I otóż żona ambasadora Grady'ego oświadczyła przed niedawnym czasem w wydawie udzielonym londyńskiemu „Sunday Dispatch”, że Grecja jest po prostu forpoczta Ameryki, która ma tu wielkie wpływy. I jeszcze dodaje, że Grecja powinna i musi się odro- dzić w duchu amerykańskim. I tyle.



Kto więc panuje w Grecji „miłoścywie”? Czy król Paweł? Bardzo wątpliwe. Na pewno zaś panuje ambasador amerykański w imieniu „monarchów” Wall-Street. R. W.

Literaci — piszcie!

Bardzo często w wiejskich kołach ZMP-owskich urządziła się przedstawienia teatralne, które właściwie zamiast kształtować świadomość społeczną chłopów powodują co najwyżej trochę pustego śmiechu.

Owszem, ludzie pośmieją się, powiedzą sobie, że niby ten golarz dobrze pędzłem od wapna omaścił mydłem twarz klienta, albo, że to śmieszne, iż jakiś tam gość przyjechał w beczce, to znów jakaś tam kowalowa oszukała diabła itd.

Tak więc w bardzo wielu wypadkach te... „szmiry” brukowe, nie przedstawiające żadnego waloru kulturalno-oświatowego cieszą się powodzeniem. Cieszą się powodzeniem, ponieważ innego repertuaru brak. Wiadomo, że doświadczenie często pozbawiona jest napraw- de utworów scenicznych. Gdy członek koła ZMP pojedzie do księgarni w celu kupienia jakiegos utworu, okazuje się po prostu, że są tam jakieś bezwartościowe społecznie utwory sceniczne, albo znów takie, że wieś nie może ich grać z powodu braku kostiumów, dla wyfraczonych hrabiów lub bogaczy amerykańskich. Szybie odpowiednich kostiumów pochłonięłyby duże sumy. Jeśli znajdzie młodzię wiejska odpowiednią sztukę, wypożycza ją sobie od koła do koła, co oczywiście wpływa hamująco na pracę amatorskich zespołów teatralnych.

Dla wsi, dla młodzieży wiejskiej zrzeszonej w kołach ZMP trzeba dać repertuar przystępny, nietrudny do wykonania pod względem technicznym, który by w formie artystycznej dał to, co się dzieje w gospodarce. Dlatego pisząc te parę słów, apeluję do pisarzy polskich, żeby pomyśleli o repertuarze wiejskim. Literaci! Piszcie! Aby młodzież wiejska nie wyciągała starych szkodliwych społecznie „szmir”. Słowa te skreślił drobno- rolny chłop — na odpowiedź czekają was miliony!

Biecki Jan

wieś Dęba, pta Kurów Lubelski pow. Puławy

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Piotrkowska Nr 133, telefon 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOSKIEJ.

REDAKCJA RĘKOPISÓW NIE ZWRACA.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, Piotrkowska 133, telefon 100-98.

Warunki prenumeraty:

miesięcznie 80,— zł; kwartalnie 240,— zł; półrocznie 480,— zł; rocznie 960,— zł.

Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII-1080.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, ul. Zwirki 2.

D-01757